Nr. 191. Lwów — Środa dnia 21 Sierpnia. Rok 1901.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

Wychodzi w dni powszednie

Wszelkie DONIESIENIA PRYWATNE

Dziś:	św. Joanny Frem.	Jemyłyjana	Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów. ul. Sykstuska l. 45.	Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski.	Wschód słońca o g. 5 m. 9	Długość dnia godzin 13 minut 45
Jutro:	św. Filiberta Op.	Mafteja Ap.			Zachód „ „ 6 m. 54	Ubyło dnia od wczoraj 4 min.

Manifestacye bułgarskie.

Przed sądem przysięgłych w Sofii odbył się przed kilku dniami proces, wytoczony na żądanie Rumunii i Turcyi przeciw czterem mordercom, którzy stali na czele komitetu macedońskiego. Pierwszy z nich, Sarafow, był prezesem tego komitetu, drugi Kowaczow sekretarzem, trzeci Trolow, komendant straży ogniowej w Sofii i czwarty Stojanow, porucznik w służbie czynnej, zasiadali jako stali członkowie owego komitetu. Przyznali się oni do zarzutu uczynionego im w akcie prokuratorskim, że wydali rozkaz zamordowania szpiega tureckiego Fitowskiego w roku przeszłym, a wkrótce potem kazali także zamordować bukaresztеńskiego prof. i redaktora dziennika *Peninsula Balcanica*, p. Stefana Michajleanu. Oba rozkazy były ściśle wykonane przez najętych zbójów, przyczem Sarafow i Trolow dali tym zbójom wskazówki, jak mają mord wykonać, a sekretarz komitetu macedońskiego, Kowaczow, zaopatrzył morderców w pieniądze na podróż, po dokonanej zaś przez nich zbrodni wypłacił im z kasy komitetu macedońskiego umówione wynagrodzenie. Powtarzamy raz jeszcze, że oskarżeni otwarcie przyznali się do spełnienia zarzuconej im zbrodni, a tłumaczyli się tem, że zamordowani byli szkodliwi dla narodu bułgarskiego w Macedonii. Po rozprawie, która trwała tylko dwa dni, wszystkich czterech oskarżonych uznali sędziowie przysięgli jednogłośnie niewinnymi. Do obrony ich stanęło aż czternastu najwybitniejszych adwokatów bułgarskich, między nimi zaś byli dwaj do niedawna ministrowie: Radosławow i Teodorow, oraz były agent dyplomatyczny bułgarski w Konstantynopolu Markow, wreszcie były prezes sobrania Bokatow. Umyślnie wymieniliśmy te osobistości dla pokazania, że kwiat narodu bułgarskiego z pewną ostentacyą zaznaczył swą zgodę na czyny zarzucone Sarafowowi i jego komitetowym kolegom. Już to było do pewnego stopnia demonstracyą. Po uwolnieniu podsądnych ludność sofijska witała ich owacyjnie, a zaraz potem we wszystkich miastach bułgarskich tłumy zaczęły pochodami i okrzykami zaznaczać swe zadowolenie w sposób tak jaskrawy, przyczem wygłoszono tyle mów podszczuwających przeciwko Rumunii, że rumuński rząd był zmuszony polecić swym władzom granicznym, aby przedsięwzięły różne środki ostrożności. Tak proces polityczny zmienił się w manifestacyę polityczną na korzyść sprawy macedońskiej.

Niepodobna było spodziewać się, że bułgarscy sędziowie przysięgli potrafią odróżnić robotę spiskową od pospolitych mordów, wykonanych pod pozorem popierania celów macedońskich. Szpiega Fitowskiego zamordowano dlatego, że on bardzo spiskowcom szkodził; nienawidzono go jako Bułgara, który przyjął służbę turecką, aby szpiegować i wydawać rodaków; zamordowano go więc z zemsty, z nienawiści i to do pewnego stopnia zgadza się z rewolucyjnym charakterem komitetu macedońskiego: Macedończycy zamordowali zdrajcę Macedończyka; to ich zupełnie uniewinnia na Wschodzie, gdzie ludzie wychowują się w etyce „oko za oko, ząb za ząb". Ale zamordowanie profesora Michajleanu, nawet na Wschodzie nie da się niczem usprawiedliwić. Profesor ten był nie Macedończykiem, lecz macedońskim Rumunem, stał na czele rumuńskiego ruchu w górach Rodopskich, a potem, przeniósłszy się do Bukaresztu, przekonywał z katedry i w swoim dzienniku, że Rumunia powinna popierać Turcyę, a nie Bułgaryę — i za to jedynie komitet macedoński w Sofii skazał go na śmierć, Sarafow wyszukał dwóch zbójów: Dymitrowa i Stoiczewa, komendant straży ogniowej Trolow zaopatrzył ich w paszporty, a sekretarz komitetu Kowaczow dał im pieniądze na podróż, potem zaś wypłacił im wynagrodzenie. Z zimną tedy krwią planowano i wykonano zbrodnię, której ofiarą padł człowiek wprawdzie szkodliwy dla komitetu macedońskiego, lecz ani zdrajca, ani szpieg, jeno patryota rumuński. Uniewinnienie zatem oskarżonych o tę zbrodnię dowodzi, że Bułgarzy nie dorośli jeszcze do posiadania instytucyi sądów przysięgłych. Lecz oni pod tym względem nie stanowią wyjątku.

Polityczne następstwa tego procesu będą może ważne. Ludność bułgarska okazała w sposób bardzo dobitny temi manifestacyami, które się odbyły w miastach, że prawie cała stoi po stronie terrorystów w komitecie macedońskim. Zaraz po uwolnieniu Sarafowa zebrał się ów komitet, aby ponownie wybrać prezesem tego „męczennika sprawy macedońskiej". Wprawdzie znalazła się w tem zgromadzeniu większość, która Sarafowowi rzuciła czarne gałki, ale ponieważ to się stało wskutek usilnych zabiegów Karawełowa i innych ministrów, przeto przegłosowanie wyboru Sarafowa bynajmniej nie dowodzi cofania się komitetu macedońskiego i wyparcia się przezeń terorystycznych sposobów. Chociaż nie oficyalnym, będzie jednak Sarafow rzeczywistym prezesem komitetu. Ludność bułgarska jakby przez aklamacyę powołała go swemi manifestacyami na to stanowisko. Odtąd zatem trzeba oczekiwać bardzo gorliwych czynów ze strony komitetu macedońskiego, — i w tem właśnie tkwi polityczne niebezpieczeństwo, wynikające z procesu sofijskiego, który się skończył uwolnieniem morderców.

Separacya.

Piszą nam z Wiednia, 19 sierpnia:

Systematyczne hodowanie nienawiści narodowościowej w Czechach wywołało tam potworną idyosynkrazyę, która uwydatnia się w zupełnej nieudolności przedmiotowej i bezstronnej krytyki. Na każdy wypadek zapatrują się tam przez pryzmat nienawiści plemiennej; co czyni zadość życzeniu i potrzebom jednej narodowości, to tem samem wywołuje potępienie i protesty drugiej, et vice versa. Reguła ta dopisała świeżo wobec mianowania dwóch biskupów-sufraganów archidyecezyi praskiej. Arcybiskupstwo Czech liczy około 3 miliony czeskich, około 2½ miliona niemieckich wiernych. Rzecz więc całkiem słuszna, świadcząca o roztropności i sprawiedliwości arcybiskupa kardynała Skrbenskyego, że mianował świeżo biskupami-sufraganami Niemca kanonika dr. Frinda i Czecha dr. Krasla. Ani jeden, ani drugi nie należy do szowinistów. Ksiądz Frind, jako profesor wszechnicy praskiej, wydał dzieło „O prawie językowem w wielojęzycznem państwie", w którem wprawdzie broni praw niemieckich w Czechach, ale nie podaje w wątpliwość praw Czechów, owszem uznaje zgodę i pokój na sprawiedliwej podstawie. Zasada, że z dwóch biskupów-sufraganów jeden będzie Niemcem, drugi Czechem, nie może być przedmiotem sporu, tembardziej, że godnością prałatów nie dostarczają żadnego pretekstu do oburzenia się. Jednak już odezwały się ze strony czeskiej takie głosy oburzenia, które w powołaniu kanonika Frinda na urząd biskupa-sufragana dopatrują się zapowiedzi „rozdarcia" Czech pod względem kościelnym, wyrugowania czeskich księży z niemieckich okolic i t. d., słowem nowego powodu do „patryotycznych" spazmów.

W Czechach szczerze katolickie koła powinny pracować najusilniej nad sprowadzeniem zgody obu narodowości. Wynika to nietylko z zasady katolicyzmu, która wyklucza wszelką nienawiść plemienną, różniąc się w tym względzie całkiem od przedchrześcijańskich pogańskich wierzeń, według których każdy obcokrajowiec był barbarzyńcą, rozbójnikiem, wrogiem, — lecz także z uwagi, że z walki narodowościowej korzystają jedynie żywioły radykalne, wrogie Kościołowi. Na nieszczęście żywioły katolickie w Czechach nie posiadały dość siły, aby się stanowczo oprzeć walce narodowościowej i stać niezachwianie pod wspólnym sztandarem ugody. Po obu stronach uważano jako rzecz pożyteczną czynić gorętszym ustępstwa, nawet czasem rozpoczynać z nimi wyścigi w deklamacyach szowinistycznych, w których zawsze do mety docierają najskrajniejsi.

Słowem także na polu kościelnem de facto w Czechach wytworzyła się itio in partes — nominacye ks. Frinda i Krasla nie przygotowują „separacyi", lecz uwydatniają fakt, że niemieccy a czescy katolicy tworzą już osobne obozy, nie tak wrogie, jak demokratyczni szowiniści obu narodów, ale też nie tak zgodne, jakby to być powinno w interesie Kościoła, państwa i obu narodowości. Kardynał Skrbeński wyprowadził tylko logiczne wnioski z danych przesłanek. Także w jednolitej dotąd kuryi w. posiadłości Czech będzie trzeba przystąpić do formalnej separacyi. Wprawdzie w bliskich wyborach do sejmu krajowego kompromis ten stronnictw w tej kuryi mógłby uwydatnić jej jedność, wykazać jej niezależność od szowinistycznych prądów narodowościowych i uwydatnić, że znany wniosek hr. Buquoya (co do zmiany ustawy wyborczej) nie był prostym manewrem. Ale pono nie zanosi się na taki dowód! Dopóki stronnictwa konserwatywne i umiarkowane gonią za radykalnemi, żądne dorównać im w frazeologii szowinistycznej, nie może nastać zwrót ku lepszemu. W każdym razie te stosunki w Czechach stanowią wielce pouczający przykład — odstraszający!

Echa z wód.

Zakopane, 18 sierpnia.

Mamy tu w tym roku znamienny wypadek: po raz pierwszy przybyło wiele rodzin arystokratycznych, a obok nich jak zwykle dygnitarze, artyści, literaci i mnóstwo innych. Bawią tu więc: ordynatowie Krasińscy, którzy zamierzyli dwór sobie wybudować, Wodziccy, Dzieduszyccy, Potoccy, Platerowie, Sobańscy, Męcińscy, Dunajewscy, Estreicherowie, Rosnerowie, Chylińscy, Wojciechowscy, Ochenkowscy, Tretiak, Byliccy (Franciszek i Władysław), Bandrowski, Floryański, Barcewicz, Korolewiczówna, Ruszkowska, Kamiński, Kotarbińscy, Paszkowski, Jerzmanowski, Paderewski z żoną, Jordan, Chmielowski, Witkiewicz, księży z wszystkich dzielnic przybyło kilkudziesięciu itd. itd. Ale tu było zatem dobrze, skoro corocznie kwiat społeczeństwa coraz liczniej tutaj się zjeżdża. Niewątpliwie mnóstwo okoliczności zdrowotnych, ekonomicznych, społecznych, turystycznych przemawia za ciągłym wzrostem Zakopanego. A przecież jeden z najwybitniejszych gości określił mi stosunki tutejsze jednem słowem: anarchia. Pomimo, że mamy tu już niejaką władzę, komisarza rządowego, będącego zarazem prezesem autonomicznej komisyi klimatycznej, atoli jest to jeszcze pod wielu względami kraj postawiony po za prawem, po za porządkiem, a z drugiej strony społeczeństwo także o ten nowy skarb swój zakopiański nie dba.

Nie mogę tu pisać obszernego memoryału o brakach i wadach, lecz przytoczę tylko kilka przykładów, a czytelnik, jeżeli go sprawa obchodzi, sam sobie wnioski wysnuje. Są to sprawy z pierwszej, mniejszej i większej wagi: wolno chodzić, żeby na głównej promenadzie otwarte gnojowiska i szerzyły straszliwą zarazę; wolno odpadki z ustępów wylewane są (widzę to codzień) na ulicy, w których poniżej właśnie ludzie się kąpią; wolno na promenadach pod każdym całe dzień krowy, nie trzymane na postronku, a te krowy dzieci tratują; wolno woźnicom jeździć sobie chodnikiem do wody, niszczyć go, ludzi najeżdżać, wolno woźnicom zuchwale, w dziki sposób gości teroryzować, zdzierać, szydzić z wszelkiego porządku; niema na milę kwadratową ani jednego publicznego ustępu; niema żadnej krytej promenady, halli, niezbędnej podczas deszczów. Niema dotąd ani jednego **p r a w d z i w e g o** przedsiębiorcy żywienia tysięcy gości. Liczne pensyonaty są pełne, ale bardzo wadliwe, gdyż kierownicy i kierowniczki ich albo nie znają się zgoła na tym procederze, albo nie mają potrzebnego kapitału. Tak samo ma się rzecz z restauracyami i hotelami, wszystko idzie po grajzlersku, z dnia na dzień, bez właściwej administracyi, bez porządku; zamiatanie, czyszczenie, dezynfekcya, posłuch, spokój i cisza — wymysły te uważane są za niepotrzebny zbytek. (Bywa tak na Węgrzech, w krajach na południu, może być i u nas!) Odbudowano z cegły n. p. spalony hotel wielkim nakładem. Zaledwo go otwarto, już jest zanieczyszczony, niema ładu, obsługa z pod ciemnej gwiazdy, kuchnia bardzo mierna, a w sali restauracyjnej i **w i d o w i s k o w e j** dostaje się migreny od kuchennych i innych odorów. Dziwić się też trzeba, że pozwolono na otwarcie sal widowiskowych w dwóch hotelach, które są tak urządzone, że w razie **p a n i k i** niktby żywy, albo cały nie wyszedł.

Przestrzegam w porę: każdy dzień jest straszną groźbą. Niechże władza (nie wiem, dalibóg, która władza?) nie dopuści do katastrof. — Letnicy, prowadzący własne gospodarstwo, walczą jeszcze ciągle z trudnościami w nabywaniu mięsa, drobiu, ryb, jarzyn i owoców. Powtarzam, że mimo, iż frekwencya roczna wzrosła tu już do 15.000 ludzi, nie pojawił się tu jeszcze ani jeden prawdziwy, zawodowy, zasobny, doświadczony, europejski przedsiębiorca. A jest tu ogromne pole do pracy, do zarobku. Wymienię także tylko dla przykładu: wyrób cegieł palonych i suchych, sprzedaż paszy, ziemniaków, kapusty, zaprowadzenie prawdziwych dorożek, hotele czyste z prawdziwą usługą, restauracye, zaopatrywane w w sezonową żywność i z prawdziwą usługą, dostarczanie mięsa, drobiu, jarzyn, owoców, otwarcie warsztatu dla galanteryjnych wyrobów kamieniarskich, — bo już chyba się nie doczekamy, żeby szkołę drzewną tutejszą ocalono przez otwarcie oddziału dla galanteryjnego kamieniarstwa. Niezbędnem też jest jako przedsiębiorstwo biuro turystyczne, wycieczkowe, któreby organizowało stałe wycieczki, gdyż nikt się tem nie zajmuje, zgoła nikt, a jest to przecież jednym z celów pobytu w Zakopanem.

„Jakoś to będzie" — zwykle się mówi. Istotnie, będzie jakoś. Z roku na rok jest lepiej, komisarz działa o ile może, ale trzeba, żeby społeczeństwo także samo coś robiło i żeby robili przedsiębiorcy. Braków i dezyderatów wcale nie wyczerpałem; komu na tem zależy, dojdzie do kłębka po nitce przykładów.

Przyszłość Zakopanego jest ogromną. Może tu bawić i będzie kiedyś bawiło po 50.000 ludzi równocześnie, a nikt nikomu nie będzie potrzebował na pięty następować, bo miejsca huk. Znowu tylko przykładami rzecz tę objaśnię: Uregulowano dziki potok, powstała równa wśród lasów promenada od starej Polany, aż do Kuźnic i miejsca na jakie 200 dworków (willi). Od kościoła OO. Jezuitów na zboczu Gubałówki, gdzie obok już trzy dwory stanęły, będzie się ciągnął szereg dworków aż do Chramcówek. Pod Kościeliskami, przy drodze, gdzie się zaczyna osobna serpentyna, wiodąca w górę, w lasy, do sanatoryum — więc niżej, nad wodą, pod górami powstanie cottage, osada dworków, które zajmować będą krewni i znajomi pacyentów umieszczonych w górnem sanatoryum. A będzie to osada także przez cudzoziemców zajmowana, którzy po raz pierwszy przybędą do Zakopanego, bo to sanatoryum jest arcywspaniałe, to sprawa europejska, wykonywana przez ludzi europejskich, mających też stosunki w całej Europie. Z Krupówek pójdzie bulwar na Chramcówki; na torfowisku muszą być założone stawy, jeżeli nie jezioro; pójdzie dzielnica dworków po za stawami, pod reglami. Zabudowuje się dworkami wcale rozumnie i ładnie Bystra, a zabuduje się tu i ówdzie i gościniec do Morskiego Oka. Oto widoki na przyszłość; nie fantastyczne, ale realne, już się one powoli urzeczywistniają.

Ale to Morskie Oko! *Facit* sprawy taki: Hohenlohe pod osłoną węgierskich żandarmów zajął sporne terytoryum i trzyma je. Wybudowano tam dwie koleby i zajmują je stale żandarmi węgierscy i służba Hohenlohego. Bez sądu, wbrew prawu, przemocą Węgrzy i Niemcy *de facto* sporne terytorym zabrali i dzierżą. To jest prawda, prosta, normalna, haniebna, wszystko inne jest nieprawdą. W obronie naszej nie stało się nic i sprawy nie wygramy, jeżeli cały kraj energicznie w swojej obronie nie wystąpi. Potrzeba, żeby w każdym mieście i w każdym powiecie odbył się wiec w tej sprawie; potrzeba, żeby na każdym zebrano tysiące podpisów na jednobrzmiące petycye, potrzeba te petycye w odpisach przez deputacye wręczyć Wydziałowi krajowemu, Namiestnictwu, ministerstwu, wręczyć oryginały przez liczną deputacyę Cesarzowi, przetłómaczyć na niemieckie, wydrukować i wręczyć wszystkim posłom Rady państwa i członkom Izby Panów i domagać się w tej petycyi opróżnienia spornego terytoryum i zwołania sądu. Tego dokonać powinien komitet, który podobno dla tej sprawy istnieje, dokonać powinny z własnej inicyatywy wszystkie miasta. Jeżeli w ten sposób nie postąpimy, sprawę przegramy.

Idem.

Co i o czem piszą.

P. Tadeusz Smarzewski drukuje w petersburskim *Kraju* piękne feljetony pt. „Wakacye w Anglii". W ostatnim z nich stawia pytanie: „Kto rządzi Anglią?" — i odpowiedzi poświęca cały, bardzo długi feljeton, z którego tu i ówdzie bierzemy urywki w ten sposób, by stworzyły całość. P. Smarzewski powiada, że

w dziełach o Anglii, a zwłaszcza w dziełach podróżników francuskich, spotykamy się często z ryczałtowem określeniem społeczeństwa angielskiego, streszczającem się w zdaniu, iż społeczeństwo to, w przeciwieństwie do społeczeństw kontynentalnych, składa się z jednostek o nieskrępowanym indywidualizmie, z jednostek, idących za własnymi popędami, dążących do własnego celu i niedających sobie narzucać ani przekonań, ani programu, ani metody postępowania.

Na pytanie, czy tak jest rzeczywiście? — autor odpowiada zazwyczaj, że inaczej być nawet nie może, skoro państwo angielskie pozostawia działalności prywatnej mnóstwo sfer i dziedzin, które państwa kontynentalne zagarnęły dla siebie, i skoro rząd angielski nie wtrąca się do mnóstwa czynności, które rząd francuski lub pruski wziąłby bezwarunkowo pod ścisłą kontrolę.

Ze stanowiska mieszkańca kontynentu, ze stanowiska Francuza lub Prusaka jest to rozumowanie logiczne. Jakąż bowiem władzę, jaką siłę czuje nad sobą przez całe życie mieszkaniec Berlina lub Paryża?

Odpowiedź łatwa. Uczuwa siłę i powagę państwa.

Państwo kształci go w szkołach. Państwo bierze go w rekruty. Państwo zakłada i opłaca dla niego teatry i opery. Państwo przewozi jego mienie kolejami żelaznemi. Państwo wypłaca mu emeryturę na starość. Gdyby państwo zniknęło z powierzchni ziemi, Paryżanin lub Berlińczyk czułby się najzupełniej bezradnym.

Bo i jakież inne związki społeczne dają mu uczuwać swą potęgę z równą siłą? Jakież instytucye, jakież korporacye, niewchodzące w skład ma-

---

42)

HURAGAN

Powieść historyczna

przez

Wacława Gąsiorowskiego.

(Ciąg dalszy).

Biały pułkownik, zaskoczony niespodziewanem przyjęciem, udobruchał się nieco, lecz ciągle nie mogąc się zoryentować w sytuacyi, ile, że dookoła widział pruskie harcapy a kamasze, wezwał Wosińskiego przez Floryana do raportu. Wosiński stawił się pełen kawalerskiej fantazyi a pewności siebie, opowiadając szczegółowo, jako był Prusaków podszedł a jak im strachu napędził rozległością obozowiska. A gdy następnie jął wykładać Deschampowi treść prowadzonych z Wagenfeldem pertraktacyj — biały pułkownik tak się groźnie namarszczył, że aż Floryan tłómaczący słowa kapitana, uląkł się. Gotartowski umilkł. Deschamp oczyma łypał i parskał. Wosiński nie mógł dłużej wytrzymać i szepnął półgłosem do Floryana:

— Nosaciznę ma zgoła! Czego tak ślepie wybałusza! Monstrum jestem albo li taka, jako on pokraka!?...

Gotartowski chciał napomnieć Wosińskiego, lecz Deschamp zbliżył się do kapitana i syknął przez zęby:

— *Mais tu es brave!... Tu es brave, capitaine!!...*

— Co—co on mamrocze?!...

— Żeś waszmość dobrze się spisał!...

— No, żeby tyle tylko powiedzieć, to się niepotrzebnie trudził!... A czegóż tak gębę wykrzywia?!...

Deschamp zaraz się był zebrał oglądać Częstochowę, oprowadzany przez Wosińskiego i Floryana. Im lepiej poznawał mury obronnego klasztoru, im bliżej przejrzał te wielkie zapasy amunicyi i prowiantu, nagromadzone przez Prusaków a zobaczył ten tłum jeńców, z których każdy starczyć by mógł za trzech jego strzelców, — tem ze wzrastającym zachwytem spoglądał na Wosińskiego. Co prawda zachwyt ten pułkownika trudnym był do odgadnięcia, ile że krzaczaste jego brwi zsuwały się coraz groźniej a i tak już pomarszczona twarz kurczyła się w grube niekształtne fałdy.

Gdy następnie w obchodzie swoim trafił Deschamp na izbę, w której, po wjeździe pułkownika, osadzono znów powiązanych pruskich oficerów, Wagenfeld wystąpił natychmiast ze skargami na Wosińskiego, przedstawiając Deschampowi łamaną francuszczyzną, jako ich kapitan podszedł a jako praw wojennych nadużył...

Deschamp za całą odpowiedź wzruszył pogardliwie ramionami. Wagenfeld nie ustawał w przedstawieniach i żądaniach, aby mu wolno było opuścić z żołnierzami Częstochowę, biały pułkownik atoli wskazał mu Wosińskiego.

— Jemuście się poddali — jego proście!... Mnie nic do tego!.!. To jest wasz komendant!...

Deschamp zarządził kilkodniowy wypoczynek w Częstochowie, ponieważ misya jego właściwie już ukończoną była. Armia pruska cofała się za Wisłę, pod skrzydła Benigsena, szukając ratunku i punktu oparcia. Biały pułkownik wysłał więc wiadomości do Milhauda, prosząc o dalsze rozkazy i czekał.

Postój w Częstochowie był bardzo całemu szwadronowi po myśli. Zarówno oficerowie jak i żołnierze czuli się tu jak w najpewniejszym schronieniu. Deschamp komendę całą zdał na Wosińskiego, czem kapitana w świetny wprowadził humor.

Wosiński zajął się gorliwie garnizonem Częstochowy i sformowaniem załogi, na wypadek, gdyby Deschamp musiał wyciągnąć w pole. Więc w tym celu rozesłał wici w okolice, wzywając szlachtę, aby śpieszyła zaciągać się w szeregi ochotników, a tymczasem zebrawszy gromadkę parobków, którym wojaczka uśmiechać się zaczęła, odbywał z nimi ćwiczenia a musztry, w czem stary Żubr dzielnie mu pomagał. Rannego Levitoux przewieziono z Grabówki i oddano pod opiekę doświadczonego ojca klucznika, pruskich żołnierzy napędzono do naprawy wałów a murów. A że okolica Częstochowy, jak zresztą i kraj cały, był onem smolnem łuczywem, na które dość iskry jednej, by rozgorzała płomieniem, przeto ledwie posły z wezwaniami Wosińskiego wyciągnęły, już na drodze do Częstochowy ukazywać się zaczęli młodzieńcy zbrojni, dawni żołnierze, zwabieni zapachem prochu, szlachta, mieszczaństwo, ba nieledwie wyrostki, dzieci prawie. Zaroiły się nagle podwórza klasztorne od zbrojnego mrowia. Wosiński każdego opatrywał sam, formował dziesiątki a setki, wyznaczał instruktorów, kwaterował jak mógł i kłopotał się o uzbrojenie, o umundurowanie ochotnika. Wielką w tym razie pomoc okazał mu skarbczyk pruski, odjęty Wagenfeldowi a i broń pruska. Oficerowie Fryderyka aż własne pięści sobie ogryzali, widząc, jak to każdy patrontasz, każdy rzemień się tu przydawał. Lecz alteracya ich dopiero na dobre wybuchła, gdy pewnego poranku w izbie ich zjawił się Wosiński z trzema pachołkami, niosącymi chłopskie kapoty i samodziałowe włościańskie hajdawery i rozkazał krótko:

— Mospanowie oficery! Proszę się rozdziewać!...

— Co?! Jakto?! Dlaczego!! — zawołali Prusacy.

— Dlaczego! Hm! Bo mi potrzeba mundurów!!... Dalej, bo nie ma czasu!!...

— To przemoc! To gwałt!! — rzucał się generał von Miller.

— To... to... niegodne! — protestował Wagenfeld.

— Mospanowie, nie psujcie sobie krwi napróżno, bo to nic a nic wam nie pomoże... Rozbierać się i basta!...

— Ależ, panie kapitanie! — próbował tłómaczyć rotmistrz von Kasten. — Tak postępować się nie godzi... nawet z jeńcami!...

— Nie godzi się?!...

— Oczywiście! Zemsta niegodna oficera i Polaka!...

— Polaka! — odparł ironicznie Wosiński. — Zachciało wam się nareszcie polskiej wspaniałomyślności!?... Nie ma o czem mówić! Zemsty tu żadnej nie ma. Wyście z nas skórę zdzierali... a my wam tylko mundury zabieramy i to z potrzeby!.., Rozdziewać się!... Myślałem sam, że mi paradnych waszych starczy... no, ale kiedy siła wolontarzy się ciuła!... Nic, nic! Waszmościn fraczek, generale Wagenfeld, będzie akurat dla Pietrka Sroki!!...

Wagenfeld splunął ze złością.

— Nie chmurz się waćpan! Srokę się uszanuje, bo to chłop sprawny!... Więc naszyje mu się amarantu, kokardę francuską przyczepi i pies kulawy nie pozna, że w nim pruski generał chodził! Żywo! Żywo! Bo wam te zuchy pomogą! A kortu szkoda!!... A i pluderki także! Koniecznie! Musi forma być, nie ma rady!... Dobrze, dobrze! Krzywdy waszej nikt tu nie chce. Dostaniecie na ziąb nadchodzący okrybiedy zacne! Po jednej świcie nowej i pasiatych hajdawerkach.

Oficerowie pruscy, klnąc, zmieniali odzież swą na chłopskie sukmany. Gdy się owo przebieranie skończyło a spojrzeli po sobie, mimo gniewu wybuchnęli śmiechem. Wosiński śmiał się z nimi z całej duszy, ile że istotnie wygolone twarze oficerów w czapach baranich a sukmanach, na które zwieszały się białe harcapy, ucieszni wyglądały.

— Tak to lubię, mospanowie, wesoło i już! Wojnę żeście zaczęli—wojnę macie! A pamiętajcie, że krzywem okiem ani żółcią ze mną nie poradzi! To i po krzyku! Harcapów waszych już wam nie ruszę, bo nasz żołnierz nie włożyłby tego na głowę, czem lada wałach muchy za sobą opędza! Rozumiecie!?... A jak się mundury wasze wyszykują a obszlegi zmienią, to was zaproszę na oględziny!...

— *Verfluchter!* — mruknął pod nosem Wagenfeld.

— Jeszcze generał się surzy!? Ale dalipan, umityguj się waszmość!... Pietrek Sroka jakby ulany do waścinego fraczka!...

— Chyba teraz moglibyście nam dać spokój—zagaił pojednawczo von Miller. —Pozwólcież nam odejść w końcu!... Zabraliście broń, odzież nawet...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

chiny państwowej, narzucają mu swą wolę z równą stanowczością?

Rodzina? Toż to (w Paryżu lub Berlinie) po prostu ochronka, dobra dla niemowląt. To przesąd, zniewalający nas do zjedzenia czasem uroczystego obiadu w gronie kuzynów i kuzynek. Któż się liczy z rodziną? Jakże można porównywać wpływ domu rodzicielskiego z wszechpotężną wolą państwa! Kościół? To przybytek, do którego się chodzi z młodą żoną przez parę miesięcy miodowych. Współparafianie? To śmieszne filistry, które nam zawadzają w ławkach.

Węzły koleżeńskie z dawnych lat szkolnych? To przecież najsmutniejsze przypomnienie godzin śmiertelnego strachu na lekcyach łaciny i matematyki, to przypomnienie nieprzespanych nocy i łzawych chwil po odebraniu świadectwa. Węzły koleżeńskie — to w najlepszym razie pretekst do wypicia butelki szampana i wysłuchania kilku mów w dwadzieścia pięć lat po maturze.

Rodzina, kościół, kolegium szkolne jest w Anglii czemś innem, niż na lądzie stałym. Im powściągliwsze jest państwo we wdzieraniu się we wszelkie sfery życia społecznego, tem silniej występuje i zaznacza się wpływ, powaga, znaczenie innych związków społecznych, innych korporacyj, innych ciał zbiorowych. Anglik może przejść przez życie, nie otarłszy się o to, co my na lądzie stałym nazywamy „rządem", ale za to przez całe życie będzie czuł nad sobą silną rękę nieuchwytnego, niewidzialnego rządu moralnego, którego cząstkami są: dom rodziców, kościół parafialny, starożytne mury szkolne, a wreszcie klub lub stowarzyszenie sportowe.

Oto wejście do ogrodu publicznego. Tam na prawo ciągnie się murawa, przeznaczona na gry narodowe, na igrzyska.

Dlaczego Anglik nie pójdzie bawić się tam w niedzielę? W jednych hrabstwach są jakieś przepisy, ograniczające zabawę w dnie świąteczne. W innych są znowu inne. Dlaczego żaden mieszkaniec kraju nie pyta o te prawa, lecz każdy wstrzymuje się od zabawy?

Przecież żaden prefekt departamentu, przemawiający w imię wolności, równości, braterstwa, nie wywiesił na bramie zakazu, żaden landrat nie postawił we wrotach policyanta z pałką. Któż przeszkadza Anglikowi w zabawie? Kto go trzyma za kark?

Trzyma go żelazna, despotyczna, nieubłagana dłoń tego niewidzialnego rządu, o którym konstytucya nie wie, a który robi w Anglii wszystko, czego nie zrobiło państwo.

Na ów tajny, unoszący się ponad całą wyspą rząd społeczny, składają się jeszcze czynniki inne. Jednym z nich jest żywa tradycya prastarych obyczajów angielskich.

W sobotę po południu miałem odjeżdżać z Surrey do Londynu.

— Zostań pan do wieczora — powiada mi jeden ze znajomych — a przed odjazdem chodź pan z nami do lasu na piknik.

Zostałem do wieczora i byłem na pikniku.

Była to zabawa młodzieży, której życie nie idzie po różach. Kilka panienek ze sklepów, kilka nauczycielek szkoły ludowej, kilku clerk'ów z różnych kantorów, dwóch młodych prawników. Ale też jak szła zabawa! Widać było, że ta młodzież, dostawszy się do lasu, chce się wybiegać za wszystkie czasy. Jedne gry szły po drugich. Nie było tam osobnych kostyumów sportowych, nie było przygotowań. Były tylko młode płuca i młode siły; była gorąca chęć niestracenia ani chwili.

Gdy już najzapamiętalsi ustawali, całe grono spocone, zgrzane, rozbawione zasiadło kołem na wielkiej polanie do podwieczorku. Rozdano herbatę. Panny poprawiły kapeluszów i przygładziły włosy, lgnące do płonących twarzy. Panowie obnieśli ciastka. Nareszcie każdy miał przed sobą wszystko, czego pragnął.

— A teraz co?

— Jakto? No, teraz zaczęli zapewne jeść i pić.

— O, za pozwoleniem, jeszcze nie pora.

Teraz pacierz. Stary, poważny Szkot z siwemi bokobrodami odmówił głośno modlitwę, panny pospuszczały oczy, zrobiło się poważnie i uroczyście w całym lesie.

Niejednemu z tych młodych zjawi się kiedyś pod niebem drugiej półkuli, wśród chłodnej nocy podzwrotnikowej, gdy konstelacya krzyża południowego zejdzie na niebie — widmo zarumienionej dziewczyny w słomkowym kapeluszu, siedzącej ze złożonemi do pacierza rękami nad szklanką herbaty w trawie. Kto chce jednak mieć udział w takich zabawach i doznawać później takich wspomnień, ten nie może pozwalać sobie w święto na piłkę lub tennis.

Oto są potęgi, które rządzą Anglią.

† Dr. Józef Kaizl.

Wczoraj umarł w Miszkowicach pod Sobiesławiem w Czechach były minister skarbu, poseł do Rady państwa dr. Józef Kaizl, jeden z najwybitniejszych czeskich mężów stanu w ostatnich czasach. Nazwisko jego ściśle związane jest z działalnością i rozwojem klubu młodoczeskiego w ostatnich latach dziesięciu, i w ogóle z wewnętrzną polityką austryacką w tym okresie. Szczegóły tych niedawnych dziejów są jeszcze w świeżej pamięci tych, którzy przebieg ich śledzili, zatem ograniczymy się obecnie do przypomnienia pokrótce kilku najważniejszych dat z życia Kaizla.

Urodził się on w 10 czerwca 1854 r. Skończywszy szkoły, uczęszczał na wydział prawny uniwersytetu praskiego i w r. 1876 otrzymał stopień doktora, poczem kontynuował studya na uniwersytecie w Strassburgu. Rozprawę jego p. t. „Walka o reformę przemysłową i o wolność przemysłu w Bawaryi w latach od 1799 do 1868" uwieńczył uniwersytet strassburski nagrodą. W r. 1879 otrzymał docenturę ekonomii społecznej na niemieckim uniwersytecie w Pradze, a w r. 1883 został nadzwyczajnym profesorem w nowoutworzonym uniwersytecie czeskim, oraz w politechnice czeskiej w Pradze. W tym czasie wydał podręcznik ekonomii w języku czeskim i opublikował liczne rozprawy naukowe. Równocześnie pracował jako adwokat przy praskim Wydziale krajowym.

W r. 1885 rozpoczął swój zawód polityczny, wybrany posłem do Rady państwa z Kutnohorów i Czasławia; mandat ten jednak w trzy lata później złożył. Ponownie wszedł do Rady państwa w r. 1890, wybrany przez praską Izbę handlową; wówczas wstąpił do klubu młodoczechów. Przy nowych wyborach w r. 1891 został wybrany posłem z przedmieścia Pragi Karlina. Odtąd nieprzerwanie był jednym z najczynniejszych posłów czeskich i pracował bardzo gorliwie w komisyach; przez długie lata był przewodniczącym komisyi budżetowej. Pod względem politycznym reprezentował Kaizl w stronnictwie młodoczeskiem kierunek umiarkowany; w r. 1895 wygłosił jako jeneralny referent budżetu ważną mowę, w której rozważał możliwość ugody niemiecko-czeskiej w Czechach. W gabinecie hr. Thuna piastował Kaizl urząd ministra finansów. W roku zeszłym ponownie został wybrany posłem do Rady państwa.

Kaizl ożenił się w r. 1893 i miał dwie córeczki, liczące obecnie 5 lat i 2 lata.

Choroba, która położyła koniec życiu Kaizla, zaskoczyła go nagle, gdy bawił z wizytą u znajomych w „Schneedorf", dokąd się udał był z Miszkowic w towarzystwie posłów Spindlera i Jandy. Było to w ubiegły czwartek; podczas gry w piłkę nagle dostał kurczów tak silnych, że musiano go odwieźć do domu. Lekarz, wezwany telegraficznie z Pragi, skonstatował wytworzenie się kamieni żółciowych. W sobotę choremu było znacznie lepiej i lekarz uspokojony odjechał już, ale w kilka godzin po jego odjeździe gorączka raptem wzmogła się do 40° stopni C. i chory dostał straszliwych bólów głowy. Przybyło niebawem trzech lekarzy, dwóch z Pragi, a jeden z Wiednia, ale pomódz już choremu nie mogli. Jak się po ponownych badaniach okazało, cierpieniem Kaizla nie były kamienie żółciowe, ale poplątanie się kiszek. W niedzielę około południa stracił on przytomność i już jej nie odzyskał. Po całodziennej agonii, zaopatrzony św. Sakramentami, umarł na ręku żony wczoraj o 11 przed południem.

Zwłoki jego przewiezione będą do Karlina, gdzie je zabalsamują, a jutro zostaną złożone w panteonie na Wyszehradzie.

Wielkopolska wieś.

Bardzo życzliwie dla nas napisane „Wrażenia z wycieczki do Poznańskiego" drukuje kolońska katolicka *Volks-Ztg.*, a w tych artykułach jest mowa o wszystkiem: o hakacie, o komisyi kolonizacyjnej, o tem jak koloniści źle ze sobą żyją, jak niszczą stare parki, jak bankrutują... jest też ładny opis wsi polskiej. Prosimy posłuchać tego opisu.

„O kilka minut od leżącej pomiędzy Poznaniem i Gnieznem stacyi kolejowej P., istnieje — pisze niemiecki autor — pewna polska wieś, będąca na wysokiej kulturnej stopie. Olbrzymie topole ocieniają budynki gospodarskie, po części słomą pokryte. Niezbyt wielki park otacza omszały dworek. Starannie utrzymane ścieżki żwirowe łączą go z drogą. Przed wejściem stoi szlaban. Odczytanie ze stojącej przy drodze tablicy polskiej nazwy wsi, sprawia Niemcowi trudność. Obok urzędowego niemieckiego napisu, określającego przynależność miejscowości do obwodu rejencyjnego, powiatu i komendy wojskowej, spostrzegam na pobliskiej sośnie tablicę z polskim napisem; Polak jest właścicielem tej wsi, na kamieniach granicznych są polskie napisy; ponad bramą dworku umieszczony jest posąg świętego z polskim napisem, na obszernem podwórzu leżą strzępy dzienników, naturalnie polskich; robotnicy rozmawiają po polsku. Wszystko jest tu polskie, wszystko nawskroś polskie. Znajdujemy się właśnie w sercu dawniejszego Księstwa Poznańskiego.

Od stu przeszło lat należy Księstwo Poznańskie do Prus, a jednak nie zaszły żadne ważniejsze zmiany w religii, mowie, usposobieniu i zwyczajach polskiego ludu. Sprawdziły się tutaj słowa Napoleona I: „To, do czego miliony przylgną i to, co w przyszłości sobie zdobędą, zawsze trwać będzie, kto zaś przeciwdziała temu, będzie odsunięty". Polak przylgnął do swojego języka wszystkiemi tętnami swojego serca. Jest on dla niego niesprzedajnym skarbem, drogą spuścizną przodków, którą swym dzieciom przekazuje, a jeżeli słowa poety:

„Muttersprache, Mutterlaut,
Wie so wonnesam, so traut!
Erstes Wort, das mir erschallet,
Süsses, erstes Liebeswort.
Erster Ton, den ich gelallet,
Klingest ewig in mir fort" —

u któregokolwiek z narodów kuli ziemskiej mają znaczenie, to tym narodem są Polacy. Czyż można za zbrodnię uważać, że umiłowali i pielęgnują swój język ojczysty? Czyż można Niemcowi lub Francuzowi brać za złe, że ceni swój ojczysty język i mówi nim? Czyż nie uskarżamy się na to, że Niemiec na obczyźnie traci swą niemieckość i zlewa się z narodem, wśród którego żyje?

Każdy z Polaków przyzna, że rząd pruski dla kultury dawniejszych dzielnic Polski wiele uczynił, i któryż z nich nie witałby z podziękowaniem zakładania szkół przez rząd? Polak posyła swoje dzieci tam, aby zdobyły sobie wiadomości, potrzebne w późniejszem życiu, lecz żąda także, i zupełnie słusznie, by i język ojczysty uwzględniono. Polacy chętnie uczą się niemieckiego języka, gdyż jest im on potrzebny. Używają przytem naturalnie swego ojczystego języka jako potocznego, a państwo i Polacy dotąd bardzo dobrze na tem wychodzili. Nie można zrozumieć, dlaczego tak energicznie zaczęto zwalczać i uciskać polski język w szkole, nawet przy nauce religii. Jakie następstwa może to wywołać, pokazują wypadki we Wrześni. *Festina lente!* Powróćmy jednak do owej wsi polskiej i jej właściciciela. Nie znam go, nigdy go nie widziałem, a prawdopodobnie, jeżeli „serce Poznańskiego" opuszczę, nigdy go już nie zobaczę; chciałem go jednak poznać, gdyż przedstawiano mi go za pełnej krwi Polaka...

Było to w niedzielę lipcową. Z pogodnego nieba biły ciepłe i jasne promienie słoneczne. Z najbliższej wsi słychać muzykę i głos bębna coraz to wyraźniej. Nareszcie spostrzegam pochód nielicznej gromadki mężczyzn, dążący do pobliskiej brzezinki. Jak się dowiaduję, jest to zabawa ludowa. Oczy starszych mężczyzn błyskają i świecą żywo, jak gdyby dawno zagasły zapał nanowo zapłonął. Ubiór ich wskazuje, że to Polacy, wzrok, giesty, zachowanie się polskie, nawet dźwięki muzyki są Niemcowi obce; jestem w „sercu Poznańskiego". W pochodzie nie widać ani jednej chorągwi. Od czasu, jak przeciw Polakom ostrzejszy wiatr zawiał, zakazano im, przynajmniej w „sercu Księstwa Poznańskiego", w zwartych szeregach udawać się na miejsce zabawy. Dawniej nosili Polacy podczas takich uroczystości chorągiew o barwach kościelnych lub też innych. Od czasu jednak, gdy tego zakazano, obywają się bez chorągwi. Do czarnego z białem nie czują żadnej skłonności. Czarno-biały płaszcz krzyżaków pozostawił w ich sercach smutne wspomnienie. Używanie chorągwi o tych barwach byłoby naigrawaniem się z ich losu politycznego. Niechęć Polaków do czarno-białej chorągwi nie pochodzi więc z nowszych czasów. Czytaniem polskich pisarzy historycznych budzi się ta niechęć i utrzymuje.

Na program uroczystości w brzezince składają się, tak, jak i gdzieindziej, gry i tańce, potrawy i napoje. Dziarskie pary nie poruszają się w takt walca lub nowszych tańców, lecz w takt ognistego krakowiaka i mazura. Uwidocznia się tu znakomicie gorąca krew Słowian. Pozazdrościć można tancerzom giętkości, zwinności i wytrwałości. Młodzież nosi przeważnie palone buty, dziewczęta biały gorsecik z czerwonemi wstążkami. Czerwone z białem — to barwy narodowe, chętnie przez Polaków w stroju używane. Pod wieczór zjawia się nareszcie na placu zabawy „wielmożny pan", to jest nasz właściciel ziemski. Jest nim poważny, sześćdziesięcioletni mężczyzna, ze srebrnym wąsem. Muzyka gra wiwat na jego cześć, a wszyscy spoglądają na niego z uszanowaniem. Pocałunkami okrywają mu ręce. Pomiędzy szerokiemi masami narodu szlachta posiada nieograniczone zaufanie i wysokie poważanie. Według moich dotychczasowych spostrzeżeń, mogę twierdzić: że dopóki szlachta polska istnieje, dopóty istnieć będą język i naród polski. Na miejscu zabawy nie słyszałem przez całe popołudnie ani jednego niemieckiego słowa: jestem w „sercu Poznańskiego".

O tem, że jako Niemiec, nierozumiejący ani słowa po polsku, nie czułem się zupełnie swobodnym, nie potrzebuję wspominać. Wszczętą przezemnie uprzejmą niemiecką rozmowę zaczęto wkrótce polskiemi zdaniami przeplatać; podczas gdy z jednym z panów rozmawiałem po niemiecku, ten odpowiadał innym po polsku. Taniec i gry trwają wciąż. Nareszcie zabiera się „wielmożny pan" do domu trzeba zatem na jego cześć wznieść wiwat. Muzyka trąbi, a jeden z tłumu wygłasza polską przemowę, w której pomiędzy innemi i wielmożnemu panu dziękuje za przyczynienie się do urządzenia zabawy. Silnym głosem wznosi mówca trzykrotnie „hura!", jeszcze silniej przez tłum powtórzone. Ale mnie się wydaje, że z tego okrzyku właściciel nie jest zadowolony, siada bowiem napowrót na swem miejscu, spoglądając badawczo na otoczenie. Wtem rozlega się drugi okrzyk, już nie „hura!", lecz tylko czysto polskie „niech żyje!". Okrzyk ten zelektryzował starca — oko jego zabłysło. Podniósł się znowu, a wyrazistym gestem ręki zdaje się mówić: „Niech żyje! tak, tak trzeba wołać!". Zabawa ta mnie przekonała, że lud i szlachta — to jedno, jedno serce i jedna dusza. Któż potrafi wobec tych okoliczności w tak silnie zespojonym murze polskim uczynić wyłom? Chociaż w szkołach uczą po niemiecku, chociażby się starano niemiecką lekturę jaknajbardziej rozpowszechnić, to przecież germanizacya ta stopi się w sercu Polaka. Wydaje mi się, jakgdyby teraźniejszemi dążeniami w szkole chciano na wodzie pływającą warstwę oliwy usunąć silnem dmuchnięciem. Byłoby to grubym błędem. Warstwa oliwy napowrót się zleje, tak, jak się polskość zlewa. Natura pozostanie zawsze naturą, przemódz jej nie można.

Jako Niemiec, kocham całym sercem swoją ojczyznę i nie chcę Polakom zaprzeczyć tego prawa; polityki przemocy i kłócia szpilkami nie trzeba przeciw nim używać. Przez to nic nie osiągniemy, absolutnie nic, — szkodzimy natomiast ustrojowi państwa dotkliwie.

Ruch przedwyborczy.

We Lwowie na jutro zwołał zgromadzenie kandydat na posła dr. Józef Weigel, lekarz i radny miejski. Wczoraj, w hotelu „Victoria" obradował świeżo utworzony „komitet obywateli wszystkich dzielnic m. Lwowa", złożony z drobnych przemysłowców i rękodzielników. Komitet ten uchwalił popierać kandydaturę p. Henryka Rewakowicza, redaktora *Kuryera Lwowskiego*, oraz dra Weigla.

W Jarosławiu ukonstytuował się w niedzielę obszerniejszy komitet dla wyboru posła z kuryi wiejskiej. Uchwalił on postawić kandydaturę posła dotychczasowego, księcia Jerzego Czartoryskiego. Książe Czartoryski zdał w piątek przed wyborcami sprawę ze swej działalności i otrzymał jednomyślnie votum zaufania.

W Oświęcimiu stanął ubiegłej środy przed wyborcami poseł Kubik, do niedawna stojałowczyk, a obecnie ludowiec, wybrany do Rady państwa z kuryi wiejskiej okręgu Biała-Żywiec. Wyborcy wezwali go do złożenia sprawozdania i wytłómaczenia się, dlaczego podpisał szenererowcom interpelacyę przeciw Kościołowi katolickiemu i Ojcu św. Kubik próbował tłómaczyć się nieznajomością treści interpelacyi, lecz wyborcy z największem oburzeniem kazali mu zaprzestać takich wykrętów. Wybrano komisyę, która oceni ów postępek Kubika i da mu dyrektywę, jak ma w przyszłości postępować.

Z kolei wysłuchano sprawozdania posła Kramarczyka z jego działalności w ubiegłej kadencyi sejmowej i wyrażono mu podziękowanie, jednak kandydatury jego ponownej nie przyjęto, a oświadczono się za popieranym tam obecnie przez ks. Stojałowskiego drem Dobiją.

W kuryi wiejskiej myślenickiej kandyduje Kazimierz książe Lubomirski. Kandydaturę tę witają wyborcy nader sympatycznie, bowiem wszyscy to oceniają, iż książe Lubomirski nieustannie składa dowody swych usilnych starań około podniesienia przemysłu i dobrobytu w powiecie. Tylko dzięki jego niezmordowanym zabiegom uzyska niebawem powiat myślenicki linię kolejową, która przyczyni się wielce do ekonomicznego rozwoju tego ubogiego zakątka kraju. — Ludowiec, b. poseł Średniawski na sejmiku swym, odbytym dnia 15 b. m. w Jordanowie, zapewnił, że absolutnie nie ubiega się ponownie o mandat.

W Mielcu dnia 14 bm. poseł Krempa zdał sprawę ze swej działalności w Radzie państwa i w Sejmie. Przybyli licznie ludowcy, stronnicy Krempy, ale oprócz nich także włościanie bezstronni i duchowieństwo. Zgromadzenie miało przebieg dość burzliwy, bo gdy po sprawozdaniu Krempy, pełnem szumnych przechwałek, zabrał głos sędziwy kapłan, ks. Szurmiak z Czermina i wykazał niezmiernie szkodliwą, rozstrojową działalność ludowców w powiecie mieleckim, ludowcy w ordynarny sposób napaściami na ks. Szurmiaka usiłowali zagłuszyć słowa prawdy, płynące z ust czczonego w całym powiecie kapłana. Burzę także wywołało przemówienie posła Szajera, który wobec całego audytoryum oświadczył, że w Wiedniu na kolanach błagał Bojkę i Krempę, aby szenererowcom nie podpisywali interpelacyi heretyckiej; oni jednak nie usłuchali, a obecnie kłamią, jakoby nie wiedzieli, jakie bezeceństwa ta interpelacya zawierała.

Mimo protestów i krzyków ze strony ludowców, ten ustęp mowy Szajera wywarł tak silne wrażenie, że gdy przyszła na stół sprawa kandydatur, sprzeciwiano się ogólnie stawianiu ponownej kandydatury Krempy i uchwalono wybór kandydata, którego wartoby popierać, odroczyć do następnego zgromadzenia.

KRONIKA.

Lwów 20 sierpnia.

Wiadomości urzędowe. Adjunkt budownictwa Dyrekcyi poczt i telegrafów Jan Kopystyński zamianowany został adjunktem budownictwa w galicyjskiej państwowej służbie budowniczej.

Zmiana nazwiska. Namiestnictwo pozwoliło p. Gerardowi Teofilowi Doskoczowi, słuchaczowi praw, zmienić nazwisko rodowe na „Armiński".

Wiec zakopański. Wczoraj odbył się w Zakopanem w hotelu pod „Morskiem Okiem" wiec gości, w którym wzięła udział wielka liczba uczestników. Przewodniczył p. Tadeusz Langie. Na porządku dziennym stały następujące sprawy: Wybór delegata gości do komisyi klimatycznej. Sprawa „Morskiego Oka". Muzeum imienia Chałubińskiego. Rozwinęła się długa, bo kilkugodzinna namiętna dyskusya. Ponieważ dr. Wincenty Tyszkiewicz zrzekł się kandydatury, wybrano delegatem gości dra Kazimierza Dłuskiego.

Awanturniczy skazaniec. Wczoraj lwowski sąd orzekający po przeprowadzonej rozprawie skazał niejakiego Czestyńskiego, notorycznie znanego złodzieja, na trzy miesiące aresztu za kradzież. Czestyński, posłyszawszy wyrok, jął sypać wyzwiskami pod adresem trybunału sędziowskiego, wykrzykując przytem, że sprawiedliwość tego trybunału jest istną komedyą. Trybunał więc za te obelgi skazał Czestyńskiego jeszcze na tydzień karceru z postem i osadzeniem na jedną dobę w ciemnicy.

Gimnazyum polskie w Cieszynie otrzymało nowego dyrektora, gdyż p. Piotr Parylak przeszedł na emeryturę. Nowym dyrektorem zamianowała cieszyńska Macierz szkolna p. Józefa Winkowskiego, profesora III gimnazyum krakowskiego.

Malwersacye w Przemyślanach w tamecznem Towarzystwie zaliczkowem pociągnęły za sobą tylko aresztowanie kasyera Grossmana. Co do dyrektora tego Towarzystwa, p. Zamorskiego, o którym donoszono, jakoby wydalił się bez wieści, to zarząd tego Towarzystwa donosi nam, że p. Zamorski przebywa w Przemyślanach, że „nie pada nań nawet cień podejrzenia i że właśnie on przyczynił się do wykrycia malwersacyi; p. Zamorski cieszy się ogólnym szacunkiem i nie miał powodu do ucieczki".

Zaręczyny. W zamku Kwanitz, na Morawie, odbyły się zaręczyny hrabianki Henryki Chotek, najmłodszej córki śp. hr. Bogusława i śp. Wilhelminy z hr. Kinskych, siostry żony arcyks. Franciszka Ferdynanda, z Stanisławem księciem Radziwiłłem, synem księstwa Antoniostwa Radziwiłłów.

Wypadek na torze kolejowym. Z Mikołajowa nad Dniestrem donoszą, że wczoraj na tamecznej stacyi pociąg ciężarowy przejechał ekspe-

13)

Za naszych dni

Dramat z powszedniego życia w 3 aktach

Napisał ***Mirorski.***

(Ciąg dalszy).

Roman.

Trzeba go zawieźć do domu, położyć do łóżka; to minie; trzeba posłać po lekarza, jutro odmienić bandaże....

Karol.

Mamo, ja ci muszę coś zwierzyć.... Ja Manię muszę przebłagać, ja muszę ją przeprosić, wiesz za co? o tak, za to, żem ją wciągnął w moje ciemne światy, w te nowe światy... bo ona, mój ptaszek, ona tylko do jasności stworzona, do harmonii... (woła) Wy wiecie gdzie Mania, ja to czuję, że ona do was wróciła.... Dlaczego się pastwicie nademną... Niech ona mnie sądzi, niech ona wyrok wyda.... Ona mnie sercem osądzi.... Ja pójdę za nią, ona mnie poprowadzi (majaczy) naprzód, naprzód... razem zdobędziemy światło i prawdę.... (woła) wy nie milczcie, ja będę tak wołać, mój ból tak będzie krzyczeć, że ona mnie usłyszy, ona do mnie powróci.... (Płacze).

(Za sceną wrzawa).

Świdrowski (bierze od Romana gąbkę z octem, daje Karolowi do wąchania).

Majstrowa (obciera mu skronie ręcznikiem).

Karol.

(Oddycha ciężko, rozgląda się). Maniu, powiedz bratu....

Świdrowski.

Karolu, proszę cię, wszak wiesz, że jesteśmy w mieszkaniu profesora; nie możesz go narażać na nieprzyjemności, musisz się stąd oddalić natychmiast; profesor nadejdzie, pomyśl, gdyby cię tu zastał; policya może wtargnąć.... słyszę kroki.... Proszę cię, zbierz siły.... Jutro, pojutrze powrócisz tu, rozmówisz się, ale teraz uchodźmy, koniecznie....

(Świdrowski i majstrowa dźwigają go).

Karol (majacząc).

Chodźmy do Mani, ja wiem, com jej winien, ja mam prawo.... ja przecież jeszcze żyję.... Maniu, Maniu,... (wyprowadzają go na lewo).

Scena 8.

Roman, Klara, Marya, Siostra miłosierdzia.

Roman.

(Porządkuje pokój, zamyka okno, staje na prawo w głębi, tak, że wchodzące osoby nie widzą go. Wchodzą Klara, Marya w półhabicie Siostry miłosierdzia i towarzysząca jej Siostra miłosierdzia).

Klara.

Moja droga, tylko odwagi; toż to składa się tak cudownie, tak niespodzianie, że nie mogłabyś wymarzyć sobie coś lepszego. Będziesz mieć znowu swój pokoik, ojca i brata....

Marya (cicho, trwożnie).

Jeżeli mnie jednak pozna, jeżeli mnie odtrąci?

Klara.

Nie lękaj się; nie może cię poznać — a gdyby nawet, to wobec twojego habitu, musiałby ustać wszelki gniew i żal. Ale zobaczysz, że cię nie może poznać.

Roman.

(Wchodzi z pokoju na lewo — okazuje zdziwienie, a gdy poznaje Maryę, biegnie do niej z otwartemi ramionami, ściska ją).

Mania! Zostałaś więc zakonnicą!

Klara.

Jeszcze nie, dopiero jest nowicyuszką, może zatem przyjąć miejsce jako lektorka i opiekunka przy ojcu i może nawet mieszkać tutaj.

Roman (do Maryi).

O Maniu, czy zechcesz?

Marya (j. w.)

Chciałabym, pragnę, ale boję się.... czy to możliwe?

Roman.

Moja droga, jeżeli się sama nie dasz poznać, to ojciec się nie domyśli. Nie spodziewa się, a cały jego umysł tylko pracami naukowemi zajęty. Ojciec się bardzo postarzał, słyszy już znacznie gorzej, potrzebuje opieki.

Scena 9.

Ciż sami, profesor, majster.

(Gdy wchodzą, Marya cofa się w głąb sceny do Siostry miłosierdzia i kryje na jej ramieniu zapłakaną twarz, Klara daje majstrowi palcem znak, żeby milczał, pokazując na Maryę).

Profesor.

(Prowadzony przez majstra, mówi jakby w dalszym ciągu): Tak, tak, szanowny panie Józefie, proszę mi wierzyć, inaczej być nie może. Ludzie nie są aniołami, a najlepsze nawet prawodawstwo nie jest doskonałem. — Wszystko musi ulegać przemianom, a zawsze na lepsze.

Roman (przerywa mu).

Panna Klara już przyszła...

Profesor.

No i cóż? Macie już co dla mnie?

Klara.

Panie profesorze, dobra wiadomość. Już żeśmy lektorkę znaleźli, a nawet ją zaraz przyprowadziłam z sobą. Jest to nowicyuszka, siostra Monika, mówi kilku językami, ma piękne pismo i cieszy się bardzo na to, że będzie mogła służyć panu profesorowi.

Profesor.

A toż to dla mnie wielki los wygrany, dziękuję ci gorąco, panno Klaro. Niechże siostrę powitam, gdzież ona jest?

(Marya zbliża się blada, ale spokojna, oblicze jej zakonne, marmurowe, profesor dotyka się jej habitu, kładzie jej rękę na głowie, ściska jej rękę — ona wzruszona, drżąca całuje go w rękę).

Zdaje mi się, że siostra jest jeszcze młodą osobą.

Klara.

Tak jest, młoda, ale bardzo poważna osoba; siostra przełożona gorąco ją poleca.

Profesor (mówi z przerwami ciężko oddychając)): Niechaj się siostra starego profesora nie obawia, ja nie będę przykrym, ja nie będę siostry dręczyć. — Mamy dla siostry osobny pokoik, jest zupełnie urządzony, ale nikt go nie zajmuje... już dawno go nikt nie zajmuje. Przyjemny pokoik, niegdyś zajmowała go moja córka... bawi ona poza domem — pokoiku tego potrzebować już nie będzie... Panna Klara będzie tak dobrą, że pokaże siostrze całe nasze mieszkanie i gospodarstwo... Podaj mi siostro rękę, proszę, zaprowadź mnie do fotelu. Romanie, proszę cię, każ mi tu przynieść moje biurko razem ze wszystkiem, co na niem leży i postawcie mi przy moim fotelu.

(Marya sadza go do fotelu na lewo — Roman i majster wnoszą biurko i przed profesorem ustawiają).

Roman.

Przynieśliśmy biurko (Profesor rękami bada książki i papiery leżące na biurku).

Majster (do Klary).

Profesor cały czas mówił w gorączce, miał przywidzenia i boleśnie wzdychał.

Profesor.

To jest zatem moje miejsce. Jestem już cały niecierpliwy. Tak, zadanie życia musi być spełnione. Oto są moje rękopisma... (Profesor układa papiery i rozmawia po cichu z Manią, która obok niego na stołku siada. Majster staje z boku koło Maryi i z czułością się jej przygląda. Roman stoi na prawo z Klarą)

Klara (do Romana).

Jest to prawdziwe szczęście, że profesor ma swoje własne światy, że je tak dokładnie widzi, tak jest w te światy zapatrzony, że może w siebie wmawiać i utwierdzać się w tem, że już naszego świata nie potrzebuje. Jest coś niemal mistycznego w tym wypadku jego ociemnienia.

Roman (gorzko).

Nędza, nędza...

Klara (pokazuje mu profesora i Manię).

Przecież to dzieło nam się powiodło...

Roman (j. w.).

Podziwiam altruizm pani.

Klara (urażona).

Przyjaźń moja nie zasługuje na tę ironię...

Roman.

To muszę ja także już chyba ociemnieć, albo nogę złamać, żeby czynne współczucie pani uzyskać. Inne cierpienia, wewnętrzne rany, te są dla pani obojętne, to sfera obca dla pani... Pani chcesz być specyalistką, doprowadzisz zapewne do doskonałości...

Klara.

Pan mnie dręczysz i krzywdzisz, a muszę się dziwić, że mnie pan jeszcze nie rozumiesz. Wszak powiedziałam już, że ja rozumiem i odczuwam pańskie rozczarowanie; mogę tylko głęboko nad tem ubolewać, że się pan na mnie zawiodłeś, ale ustąpić panu nie mogę, byłaby to niegodziwość... Nie wątpię, że jeżeli pan zechcesz i nadal zachować mi swoją przyjaźń, że kiedyś przyznasz mi, iż dobrze postąpiłam, że było to moim obowiązkiem i że tak postąpić musiałam. Nie wątpię też, że inna kobieta, która będzie stokroć więcej warta odemnie...

Roman (gwałtownie).

Bez wątpienia, że inna, inna... bo ja zaczynam już panią nienawidzieć...

(Dokończenie nastąpi).

dytora pocztowego Zdzisława Zielińskiego; koła odcięły mu prawą nogę, a ciężko skaleczyły lewą nogę i lewą rękę. Nieszczęśliwego umieszczono w lwowskim szpitalu powszechnym.

W sprawie drożyzny mięsa we Lwowie. Rzeźnicy lwowscy, zwłaszcza bijący wieprze i cielęta, doprowadzają ceny mięsa do niebywałej wysokości. Od dwóch tygodni mięso wieprzowe kosztuje po 80 hal., a cielęce po 64 do 68 hal. za funt. Wołowe mięso również podrożało i kosztuje obecnie po 56 do 68 hal. za funt. Rzeźnicy tłómaczą odbiorcom, że to podwyższenie jest nieodzowne z powodu większych opłat w nowej rzeźni miejskiej.

Tłómaczenie to nie ma najmniejszego uzasadnienia, albowiem opłaty w nowej rzeźni są tylko odrobinę wyższe od tych, które trzeba było płacić w rzeźni starej, zaś dawne ceny, tj. te, które były za czasów dawnej rzeźni, podniesiono o 10 do 25 procent.

Magistrat m. Lwowa, chcąc temu nieusprawiedliwionemu wyśrubowywaniu cen mięsa zapobiedz, postanowił dopuszczać mięso, dowożone z prowincyi, na targ bez posyłania go do rzeźni miejskiej i dlatego urządza na placu Solskich małą targowicę dla tego mięsa, które będzie badane co do swej jakości i zdrowotności przez weterynarza, ale handlarze jego będą mieli w obrębie Lwowa możliwie jak największe ulgi materyalne.

Jak nas zapewniono oficyalnie, już za kilka dni ta targowica na placu Solskich będzie oddana do użytku prowincyonalnych rzeźników i handlarzy mięsa.

Jeśliby to nie wystarczyło, tj. jeśliby rzeźnicy lwowscy mimo to nie obniżyli cen mięsa w swoich jatkach i na placach targowych, magistrat postanowił urządzić ponadto jatki dla mięsa z prowincyi w realności przy ul. Strzeleckiej, gdzie niegdyś były jatki, a gdzie ostatnimi laty mieściło się Tow. „Harmonia". Wytworzenie takiej konkurencyi zapomocą ułatwienia zbytu mięsa z prowincyi jest jedynie możliwym i wskazanym środkiem ku uregulowaniu cen mięsa, dostarczanego przez rzeźników lwowskich.

Magistrat ma też kłopot z rzeźnikami nierogacizny pod tym względem, iż jest we Lwowie wielu rzeźników, którzy dotychczas nie zabili w nowej rzeźni miejskiej ani jednego wieprza, lecz czynią to w Zamarstynowie lub Kleparowie, poza rogatkami miejskiemi ale na terytoryach gmin podlwowskich.

Zakład nieuleczalnych pod wezwaniem św. Józefa, znajdujący się przy ulicy Kurkowej l. 39, posiada oprócz furty, cztery domy piętrowe; w jednym z nich mieści się kaplica i nowicyat Sióstr św. Józefa. Te zakonnice z niesłychanem poświęceniem pielęgnują chorych, których widzieć można w obszernym ogrodzie otaczającym Zakład; nędza to ludzka wszelkiego rodzaju: ciemni, paralitycy itp. Dwadzieścia kilka miejsc jest tu bezpłatnych, powstałych z zapisów dobrodziejów Zakładu, inni płacą różnie, według możności, lub też ofiarując mały kapitalik, do śmierci mają utrzymanie i troskliwą opiekę. Dla zabezpieczenia miejsca dla jednego chorego potrzeba 5000 zł., a wiecznie dobrodziejstwo trwać będzie i codzienne modlitwy Sióstr św. Józefa za ofiarodawcę. Całe to dzieło miłosierdzia powstało pracą i niezmordowaną wytrwałością jednego świątobliwego kapłana, a jak miłe Bogu, widzimy po cudownym rozwoju Zakładu. W ostatnich czasach w jednym z nowo wybudowanych domów urządził wyżej wspomniany kapłan sale obszerniejsze, aby nieszczęśliwi, którzy jednak nie są przykuci do łoża boleści schodzili się tam dla wspólnej rozrywki. Myśl ta bardzo chorych cieszy, szczególnie staruszków. Jednak dotychczas nie można jej w czyn zamienić, bo w tych salach potrzebaby fortepianu, lub jakiejkolwiek muzyczki. Byłyby także upragnione małe bilardy, gry towarzyskie, jak warcaby i inne, książki z rycinami, a wszystko to uraduje tych nieszczęśliwych. Przydałyby się także meble, często w domu nieużyteczne, jak i ławki ogrodowe, bo i tych brak, a na zakupienie ich fundusze nie wystarczają. Wszystko to polecamy ludziom możnym. a sercom miłosiernym.

Śledztwo w sprawie oszustwa pocztowego, spełnionego w Krakowie, wykryło na razie następujące szczegóły: W miesiącu czerwcu b. r. zgłosił się jakiś młody człowiek do jednej z lokatorek przy ulicy św. Tomasza o odnajęcie mieszkania dla siebie; dał 10 K. zadatku i zapowiedział swej gospodyni, nim jeszcze zajął mieszkanie, że przyjdą dla niego pieniądze z poczty pod adresem samej gospodyni. W istocie też tego samego dnia czy nazajutrz po wynajęciu, przyszły dwa przekazy pocztowe na 900 i 950 K. Przekazy nosiły stempel pocztowy węgierski, miejscowości, która wprawdzie istnieje, ale nie ma tam poczty — a więc nie były tam, ani wogóle gdzieindziej nadane. Ów sublokator odebrawszy pieniądze od owej pani, wyszedł i więcej na oczy się nie pokazał, a jedynie z Wrocławia napisał do niej jakiś list dla zmylenia pościgu.

Awantury w Ottynii. Wczorajszą naszą notatkę o tych zajściach uzupełniamy następującymi szczegółami: Wskutek wybuchu pomoru świń, starostwo tłumackie wysłało do Ottynii komisyę dla zbadania rozmiarów zarazy i zarządzenia wybicia sztuk chorych. Komisya rozpoczęła w piątek swą czynność i stwierdziwszy w pięciu zagrodach pomór, poleciła zabić sześć chorych wieprzy. Już wówczas objawiło się zaniepokojenie wśród mieszkańców Ottynii, którzy czynności komisyi tłumnie asystowali. W sobotę udała się komisya w asystencyi żandarmeryi do zagrody Ilka Kluczenki, gdzie stwierdzono, że tam nierogacizna jest zdrowa i oznajmiono, że nie będzie zabita. Na to odezwał się głos z tłumu: „choćby była chora, nie pozwolimy zabijać świń wogóle". Równocześnie zaczęto bić w dzwony na alarm, a tłum, złożony z mężczyzn, kobiet i dzieci, który tymczasem urósł znacznie, począł przybierać wobec komisyi coraz groźniejszą postawę. Widząc to komisya chciała się schronić do sąsiedniego domu, — zanim tam jednak doszła, obrzucono ją błotem; tłum, uzbrojony w pałki, zabiegł jej drogę, a następnie ścigał weterynarzy pp. Szczerbę i Dobrzańskiego przez ogrody i ulice, tak, iż tylko stanowczej interwencyi żandarma Pokińskiego, oraz później nadbiegłego sekretarza sądu Dziubanowskiego i kilku innych, należy zawdzięczyć, że weterynarze uszli z życiem, obaj jednak odnieśli ciężkie rany. W nocy aresztowano 11 osób i osadzono je w areszcie sądu. W niedzielę w południe zgromadził się przed budynkiem sądowym tłum, liczący około 1000 głów i domagał się wypuszczenia na wolność uwięzionych, grożąc, że w przeciwnym razie zburzy budynek sądowy. Na miejsce przybył także z Tłumacza starosta hr. M. Dieduszycki i osobiście starał się tłum uspokoić, ale bez skutku. Wobec tego zarekwirowano kompanię piechoty ze Stanisławowa, która przybyła o godzinie 7-ej wieczorem i zwolna tłum rozprószyła. Równocześnie przybyła komisya sądu obwodowego w Stanisławowie, złożona z radzcy sądu krajowego p. Łuckiego jako sędziego śledczego, oraz zastępcy prokuratora państwa p. Schneidra i dokonała dalszych aresztowań; aresztowanych odstawiono do Stanisławowa. Uwięziono także pewne indywiduum z powodu usiłowanego podpalenia.

Do dalszego prowadzenia czynności urzędowych przeciw pomorowi świń delegowano innych weterynarzy; czynność ta ma być dzisiaj ukończona. Wczoraj panował spokój.

Należy dodać, że zarządzenia weterynarzy były zupełnie w duchu ustawy, od dwóch lat obowiązującej, jednak ludność w Ottynii, nie mając dotychczas sposobności zaznajomienia się praktycznie z ustawą, nie ufała zapewnieniom że otrzyma wynagrodzenie za wybite sztuki nierogacizny; zachodzi zaś podejrzenie, że niewyśledzone dotychczas indywidua rozszerzały pogłoski, jakoby wynagrodzenie to nie miało być wypłacone; te to fałszywe pogłoski podnieciły ludność i popchnęły ją do rozruchów.

Dziennikarze przed sądem parlamentu. Jak już z telegramów wiadomo, w parlamencie angielskim tuż przed jego zamknięciem zdarzyła się niezwykła scena procesu przeciw dziennikarzom. Mianowicie Izba gmin uchwaliła pociągnąć dwóch dziennikarzy do odpowiedzialności z powodu obrazy posłów irlandzkich. Na drugi dzień po południu po uchwale, u baryery Izby gmin, wskutek zarządzenia speakera (marszałka) Izby, pojawili się redaktor i wydawca konserwatywnego pisma wieczornego *Globe*, pp. Armstrong i Madge, aby wytłómaczyć się z powodu ogłoszenia artykułu p. t. „Irlandzcy awanturnicy", w którym przemawiając za zmniejszeniem liczby posłów irlandzkich, powiedziano, że „wiele osób, zostających w stosunkach z irlandzką partyą narodowościową, należy właściwie do mętów społecznych. Jedynym ich celem jest wzgląd finansowy, mianowicie chęć zarobienia przez korupcyę i szacherki jak najwięcej pieniędzy. Każdy kto miał do czynienia ze stosunkami w Irlandyi, wie o tem dobrze. Nie byłoby to zatem bynajmniej krzywdą dla Irlandyi zmniejszyć liczbę tych pasożytów narodowego systemu irlandzkiego". Autorem artykułu miał być lord Moutmorres (którego ojciec zginął przed laty 20 w czasie rozruchów agrarnych w Irlandyi). Obaj dziennikarze na zapytanie speakera, w jaki sposób mogą przed Izbą usprawiedliwić tę napaść, wyrazili głębokie ubolewanie, że artykuł ów pojawił się w *Globe* i prosili Izbę gmin o wybaczenie. Na wezwanie speakera opuścili Izbę wśród szyderczych okrzyków ze strony posłów irlandzkich. Wówczas Balfour, przywódzca większości konserwatywnej, wniósł, aby przywołać ich powtórnie i aby speaker Izby udzielił im nagany. John Redmond, przywódzca stronnictwa irlandzkiego, zażądał, aby redaktorowie cofnęli obrażające Irlandczyków wywody artykułu. Przywołano więc powtórnie pp. Armstronga i Madge, poczem speaker oświadczył im, że Izbie nie wystarcza prośba ich o wybaczenie i zapytał, czy są gotowi cofnąć swe obwinienia. Zapytani oświadczyli swą gotowość do tego i w sposób uroczysty złożyli deklaracyę, iż zawarte w artykule zarzuty cofają, a zarazem oznajmiają, iż nie mieli zamiaru naruszania przywilejów Izby. Wówczas speaker udzielił im imieniem Izby surowej nagany, poczem dziennikarze wyszli z Izby.

Pożar. Z Iwania pustego nam donoszą: W nocy z soboty na niedzielę spłonęły dwie sterty pszenicy i żyta, należące do miejscowego dzierżawcy Grünfelda. Zeszłego roku w tym samym czasie, gdy już zboże zwieziono do gumna, pożar zniszczył temu samemu dzierżawcy folwark i sterty.

W więzieniu wojskowem w Atenach, w którem umieszczonych jest około 120 więźniów, przyszło w tych dniach do krwawych rozruchów. Z powodu przesłuchania dwóch więźniów przez sędziego śledczego zaczęli więźniowie nawzajem posądzać się o donosy i wkrótce utworzyły się dwa obozy, „Ateńczyków" i „Meseńczyków", pałające dziką nienawiścią ku sobie. Charakterystyczną dla administracyi więziennnej w Atenach rzeczą jest, że wszyscy byli uzbrojeni w rewolwery i noże. Starszy dozorca próbował uspokoić rozdrażnione umysły, ale omal nie przypłacił życiem. Zaalarmował więc straż więzienną. Gdy żołnierze w liczbie 14 przybyli, więźniowie obrzucili ich cegłami i zranili porucznika i sierżanta. Wówczas żołnierze strzelili raz w powietrze, to jednak jeszcze bardziej rozdrażniło więźniów i z okrzykiem: „zabić ich!" wszyscy w zwartym szeregu rzucili się na strażników. Wtedy żołnierze dali ognia, ogółem 50 strzałów, i siedmiu więźniów zabili lub śmiertelnie zranili. Dopiero wtenczas zapanował spokój.

Z Chin. Misyonarze belgijscy, których terenem pracy są obszary położone na wschód od Pekinu, którzy zatem najlepiej są poinformowani o stanie rzeczy w tych stronach, donoszą, że w Mongolii znowu wzmaga się i zagraża cudzoziemcom ruch bokserski. — Wiadomości z prowincyi Szansi są bardziej jeszcze niepomyślne. Wskutek długiego pobytu wojsk chińskich w stolicy tej prowincyi Sin-gan-fu, wszelkie zapasy żywności się wyczerpały, a zasiewy zniszczone są przez ustawiczne marsze wojsk. W całej prowincyi panuje straszny głód; dziennie umiera z głodu mnóstwo ludzi. Donoszą nawet, że w braku innego pożywienia sprzedają w Singanfu mięso ludzkie.

Fotografia jako dowód sądowy. Fotografia stanowi zwykle utrudnienie dla rozmaitych przestępców, gdy chcą uniknąć ręki sprawiedliwości. W Rio de Janeiro spełniła ona wręcz odmienną rolę. Dwaj brazylijscy komisyonerzy handlowi pokłócili się z sobą i jeden obraził drugiego. Po pewnym czasie pogodzili się zwaśnieni i wybrali na morską wycieczkę. Z wycieczki tej jeden tylko powrócił i opowiedział, iż towarzysz zabił się, spadłszy z masztu na pokład. Zwłoki istotnie znaleziono na pokładzie, lecz podejrzenie padło przeciw pozostałemu przy życiu komisyonerowi. Doszło do rozprawy sądowej i na oskarżonego już miał zapaść potępiający wyrok, gdy jeden z podróżnych, który znajdował się na tym samym statku, przedstawił przez siebie zdjętą fotografię amatorską pokładu. Na fotografii tej w górze znajdowała się duża ciemna plama. Po powiększeniu okazało się, że plama ta stanowiła obraz spadającego z wysokości człowieka. Na podstawie dowodu z fotografii uwolniono oskarżonego, jakkolwiek lekarze-znawcy orzekli poprzednio, że śmierć towarzysza oskarżonego nastąpiła najprawdopodobniej wskutek uderzenia w głowę tępem narzędziem.

Zegarek lilipuci. Pewien zegarmistrz w Zurychu wystawił w oknie swego magazynu zegarek wielkości lilipuciej, który wzbudza zachwyt szczególniej w płci pięknej. Chociaż klejnocik ten nie jest do sprzedania, biegli ocenili go na przeszło 4500 fr., a wątpliwem jest, czy artysta, który wykonał to arcydzieło, chciałby po raz drugi się go podjąć, chyba pod groźbą utraty wzroku. Zegareczek ten przedstawia się w formie malusieńkiej różyczki, o ruchomych listkach, pośród których kryje się mikroskopijny zegareczek, zaopatrzony w szkło powiększające, ażeby módz lepiej rozróżniać godziny, które inaczej byłyby prawie niewidzialne, cyferblat bowiem ma 4½ milimetra średnicy, mała wskazówka ma milimetr długości, a cyfry rzymskie, oznaczające godziny, mają zaledwie ⅓ milimetra. Za pociśnięciem sprężyny płatki kwiatu rozsuwają się delikatnie i pozwalają widzieć lilipuci zegareczek w futeraliku z różowej emalii.

Przeludnienie ziemi. Czasopismo *The Cosmopolitan* zamieszcza artykuł, w którym roztrząsana jest kwestya, kiedy ludność ziemi powiększy się do tego stopnia, że większa jeszcze liczba ludzi nie znalazłaby już pożywienia. Autor bierze za miarę wzrostu ludności stosunek zaobserwowany w ciągu 19 stulecia. Jeżeliby ludzkość w tym stosunku stale się pomnażała, to w r. 2250 wynosiłaby 52 miliardów. Gdy zaś nasza planeta zawiera 52 milionów mil kwadr. lądu, który może służyć za mieszkanie, a jedna mila kwadr. może wyżywić 1000 ludzi, przeto w r. 2250 ziemia będzie przeludniona.

Zmarli. We Lwowie Leonard Jan Malewski, właściciel fabryki korków, lat 61.

Stan powietrza. T. o g. 6 rano + 15, *w poł.* + 21 R. Bar. 770. Spada. Pogodnie.

Grzeczny mąż.

Żona. Proszę cię bardzo, mój mężu, kup mi ten kapelusz, któryśmy dzisiaj oglądali.

Mąż. Moja kochana, wiesz, że twoje życzenia są dla mnie rozkazem. Nie mogę zaś pozwolić, byś mi rozkazywała!

Myśli.

Ubolewa nad niestałością kobiet, kto jest jej ofiarą. Zachwyca się niestałością kobiet, kto jest jej przyczyną.

Do najcięższych ran należą te, które własne serce zadaje własnej głowie, lub własna głowa własnemu sercu.

Repertuar teatru miejskiego we Lwowie. Dziś we wtorek „Wesoła dwójka" operetka w 3 aktach Ziehrera. Debiut p. Kazimierza Glińskiego. —We środę „Dom waryatów" krotochwila w trzech aktach K. Laufsa. — We czwartek „San-Toy". Debiut p. Steina.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 19 sierpnia. Ogłoszony bilans półroczny austr. Zakładu kredytowego wykazuje w zyskach razem z pozostałością z roku zeszłego 8,275.688 kor. — w rozchodach razem 3.400.414 kor. Czysty zysk wynosi przeto 4,875.274 kor., wobec 6,036.717 kor. w tym samym czasie roku zeszłego.

§ **Wiedeń** 20 sierpnia. Na wczorajszy targ spędzono bydła rogatego, przeznaczonego na rzeź, ogółem 6620 sztuk. W tem było z Galicyi 263 z Bukowiny 35. Przebieg targu mdły. Ceny niższe o 0.25 K. Niesprzedanych pozostało 650. Wołów z Galicyi i Bukowiny sprzedano: 22 sztuk po 60 do 65, 62 sztuk po 66 do 71, 72 sztuk po 72 do 76 koron, 4 po 77 do 78 koron, buhaje podtuczone bez różnicy pochodzenia kupowano po 50 do 64, krowy podtuczone po — do —, bydło chude po 34 do 52 kor., wszystko licząc za centnar metryczny żywej wagi.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU".

Poznań 20 sierpnia. Były prezydent rejencyi bydgoskiej Conrad został szefem kancelaryi hr. Bülowa. Zawdzięcza on tę nominacyę — jak stwierdza *Brombg. Tagbl.* — „wybornej znajomości politycznych stosunków w prowincyach polskich." Inne pisma dodają do tej wiadomości wyrazy nadziei, że ta nominacya przyczyni się do utrwalenia polityki antipolskiej.

Tutejsza dyrekcya pocztowa wydała okólnik do listonoszów, zagrażający karami, a nawet wydaleniem ze służby za doręczanie listów z polskimi adresami. Listy takie powinni listonosze oddawać do „biura tłumaczenia adresów" nawet w takim razie, jeżeli adres dobrze rozumieli. Za pierwsze przekroczenie tego przepisu określono karę dwóch marek.

Socyaliści, których w lutym r. b. wyrzucono z zebrania przedwyborczego polskiego za to, że chcieli to zebranie rozbić, wytoczyli uczestnikom jego proces o pobicie.

Obrony oskarżonych o zakłócenie porządku publicznego we Wrześni i o pobicie nauczycieli tamtejszej szkoły podjął się bezinteresownie adwokat Woliński z Poznania. Sprawa będzie sądzona w Gnieźnie.

Sąd kameralny unieważnił rozporządzenie prezesa rejencyi wrocławskiej, utrudniające ziemianom najmowanie robotnika z Galicyi i Królestwa, a to dlatego, że prawo zezwalania na pobyt robotników przysługuje nie policyi, nie landratom, ani prezesowi rejencyi, lecz tylko rządowi centralnemu.

W Starogardzie skonfiskowała policya egzemplarze broszury pt. „Jan III Sobieski", nadesłane do księgarza J. Nowaka.

Rada miejska w Grudziądzu obradowała nad sposobami zmuszenia władzy duchownej do zaniechania polskiego śpiewu podczas nabożeństw w kościołach, ponieważ te śpiewy wrzekomo zagrażają dzieciom niemieckim polonizacyą. Postanowiono wezwać pomocy prezesa prowincyi.

Londyn 20 sierpnia. Kitchener donosi: Kapitan Word przedsięwziął wczoraj z oddziałem liczącym kilkaset ludzi marsz rekognoscyjny w pobliżu Middelburga, gdzie natknął się na obóz boerski, w którym było 600—800 żołnierzy. Przyszło do bitwy, w której 23 Boerów poległo. Anglicy byli zmuszeni się cofnąć; jeden z nich poległ, sześciu było rannych, 14 nieodszukano.

Sofia 20 sierpnia. Bułgarsko-turecki zatarg graniczny, o którym już doniesiono, zdarzył się w miejscowości Csanak, okręgu filipopolskiego. Podobno warta bułgarska, z 3 ludzi złożona, przekroczyła granicę; zatrzymał ją oddział z 80-ciu Turków. Z obu stron padły strzały, 5 Turków podobno zabito. Turcy ścigali następnie Bułgarów na terytoryum księstwa. Na miejsce tego wypadku wysłano dwie kompanie bułgarskie wraz z szefem sztabu Siromachosem.

Waszyngton 20 sierpnia. Związek drukarzy zobowiązał się dać strejkującym robotnikom z fabryk stali poparcie finansowe i moralne.

Pekin 20 sierpnia. Dwór chiński odłożył znowu wyjazd swój z Singanfu do stolicy na październik.

Paryż 20 sierpnia. Otwarto sesyę rad jeneralnych. Kilka rad uchwaliło wysłać adresy do Loubeta, z wyrazami czci i przywiązania, a zaufania rządowi, który nazywają rządem „obrony instytucyi republikańskich". W Epinal nad Mozelą Méline wygłosił przy otwarciu rady jeneralnej mowę, w której rzekł, że ostatnie wybory do tych rad dowiodły, iż kraj niezłomnie stoi przy republice, ale nie pochwala socyalistycznych tendencyj rządu i uważa, że niemądrzy są ci, którzy wierzą, że można dojść do równomiernego rozdziału majątku.

Agencya „Havasa" donosi, że cesarz rosyjski, czyniąc zadość zaproszeniu Loubeta, weźmie udział w końcowych manewrach francuskich w Reims. Przed wylądowaniem swem w Dunkierce odbędzie car wraz z prezydentem rewię eskadry północnej, która powita go w chwili przybycia jego na wody francuskie.

Berlin 20 siespnia. Ministerstwo oświaty poleciło uczyć w seminaryach nauczycielskich pielęgnowania chorych na wypadek wybuchu wojny.

Waszyngton 20 sierpnia. Rząd Stanów Zjednoczonych postanowił pomimo, że grozi wybuch wojny Wenezueli z Kolumbią, nie wysyłać wojska dla utrzymania komunikacyi na przesmyku panamskim.

Paryż 20 sierpnia. *Gaulois* i *Figaro* donoszą, że carowi Mikołajowi w odwiedzinach jego we Francyi towarzyszyć będzie carowa Aleksandra Teodorówna. Carstwo odwiedzą Paryż i kilka innych miast francuskich.

Konstantynopol 20 sierpnia. Sułtan wzbrania się udzielić swej sankcyi umowie z francuskimi kapitalistami co do zakupna zakładów nadbrzeżnych, mimo, iż przedtem już się był na to zgodził. Ambasador francuski Constans grozi wyjazdem swym z Konstantynopola i domaga się wydania irade sułtańskiego. Mimo to sądzą, że sprawa da się jeszcze ugodowo załatwić.

HOTEL GEORGE.

Przyjechali dnia 20 sierpnia Hr. B. Gautier i hr. L. Gautier z Turynu. Hr. J. Mycielski z Przeworska. Z. Mars z Limanowy. W. Pawlikowski z Bereźnicy. A. Raciborski z Spasowa. E. Bredt z Ottyni. L. Wiśniowski i St. Chyliński z Krakowa. O. Rudziński z Ossieka. Z. Jordan z Wojnicza. J. Mogilnicki z Wołynia. Dr. Spasowicz z Petersburga.

HOTEL EUROPEJSKI
ALBERT SZKOWRON
Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 20 sierpnia. Br. Wattmann z Rudy. Dr. S. Czykaluk z Tarnopola. A. Czajkowski z Hadyńkowic. J. Wołkowicki z Strzyżowa. J. Cicharzewski z Moszkowa. K. Kernsdorf z Warszawy. M. Zajączkowski z Królestwa. Chr. Winkler z Frankfurtu. A. Dobrowolski z Ukrainy. J. Lehmann z Wiednia. A. Bourgon z Kałusza. J. Rogall z Charlottenburga. M. Weiss z Konstantynopola.

HOTEL FRANCUSKI
plac Maryacki — Lwów.

Pierwszorzędny hotel z komfortem urządzony, pilzneńska restauracya z pokojem do śniadań, cukiernia w miejscu.

Przyjechali dnia 20 sierpnia. Z. Swaryczewski z Tarnopola. J. Kochanowski z Przemyśla. M. hr. Dzieduszycki z Tłumacza. L. Kapuściński z Sambora. J. Ajesberg i H. Lesser z Wiednia. S. Zaleski z Podsadek. N. Madejewski z Podhorodyszcza. O. Horodyska z Strzelisk. J. Witkowski z Odessy. L. Takacs i J. Lechner z Budapesztu. J. Klonowski z Wołynia. Z. Younga z Lipowiec. L. Thom z Ożeli. W. Miłoszewicz i P. Zbrożek z Dubna. S. Rotterowie z Suchodołów.

NADESŁANE.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona na siebie żadnej odpowiedzialności.

Wiedeń 17 sierpnia. Kursa giełdy wiedeńskiej.
Losy: a) procentowe:
Austr. zakł. kr. z obl. pr. z r. 1880 3% 255.—
„ „ „ „ „ „ 1889 3% 252.50
Tow. żegl. na Dunaju 100 zł. m.k. 4% 510.—
Uregulow. Dunaju z r. 1870 100 zł. 5% 257.25
Węg. Banku hipotecznego po 100 zł. 4% 243.25
Pożyczka serbska prem. po 100 fr. 2% 81.00
Tureckie obl. prem. kolej po 400 fr. 100.00

b) bezprocentowe:
Budapeszteńskie (Basilica) 5 zł. 16.10, Zakł. kred. dla h. i p. po 100 zł. 390.50, Clary 40 zł. m. k. 144.00, Pożyczka m. Insbruku 20 zł. 83.—, Losy m. Krakowa 20 zł. 74.40. Pożyczka m. Lublany 20 zł. 61.25, Ofen 40 zł. 158.50, Palffy 40 zł. m. k. 161.—, Czerw. krzyża austr. 10 zł. 48.—, Czerw. krzyża węg. 5 zł. 25·—, Losy fund. arcyks. Rudolfa 10 zł. 58.—, Salma 40 zł. m. k. 218.—, Pożyczka salcburska 20 zł. 78.—, Pożyczka St. Genois 40 zł. m. k. 236.—, Losy komunalne m. Wiednia r. 1874 391.50.

Wiedeń 20 sierpnia. (Giełda towarowa). Cukier (spokojnie) 21·60—21·70. Nafta galicyjska bez zmiany. Spirytus 42·00—42·40.

Berlin 20 sierpnia. (Zamknięcie giełdy). (Podług obliczenia procentowego). Banknoty austryackie 85·40. Spirytus 00·00.

Paryż 20 sierpnia. (Zamknięcie giełdy). Trzyprocentowa renta 101·65. Mąka („Fleur de Paris") 28·30.

Frankfurt 20 sierpnia. (Giełda zagraniczna). Kredyty austryackie 201·30. Koleje państwowe 000·00. Alpiny 000·00. Disconto 175½ Laura 000·00.

Wiedeń 20 sierpnia. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i po 50 kilogramów). Pszenica na jesień 8·11—8·12, na wiosnę 8·54—8·55; żyto na jesień 7·04—7·05, na wiosnę 7·33—7·34; kukurudza na lipiec-sierpień 5·52—5·54, na sierpień-wrzesień 0·00—0·00, na wrzesień-październik 5·56—5·57, na maj-czerwiec 5·47—5·48; owies na jesień 6·63—6·64, na wiosnę 6·98—7·00. Rzepak na sierpień-wrzesień 14·35—14·45, na wrzesień-październik 0·00—0·00, na styczeń-luty 0·00—0·00. Olej rzepakowy na wrzesień-grudzień 0·00—0·00. Tendencya: oziębła. Pogoda: pada deszcz.

Budapeszt 20 sierpnia. Z powodu święta w Budapeszcie, giełda dziś zamknięta.

Lwów 20 sierpnia. (Z izby handlowej).
Obliczenie w walucie koronowej.

Akcye za 100 K.: Kolej gal. Karola Ludwika po 420 Koron 426·00 do 483·00, Kolej Lwowsko-Czern.-Jaska po 400 kor. 525.00 do 535.00. Banku hipotecznego po 400 kor. 530.00 do 540·00. Akcye garbarni w Rzeszowie po 400 kor. —·— do 100·—. Tow. budowy wagonów w Sanoku po 500 koron 360·— do 380.—. Banku dla handlu i przemysłu po 400 k. 850.— do 858.—.

Listy zastawne za sztukę: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 50 lat. z 10 proc. prem. 109·50 do 000·00 4 i pół proc. los. w 50 lat 97·30 do 98·—, 4 proc. los. w 60 lat 89.70 do 90·40. Banku kraj. 4 i pół proc. los w 51 lat 99.30 do 100.— Banku kraj. 4 proc. los w 57 lat 92·— do 92·70. — Tow. kred. gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 98·30 do 94·00. 4 proc. los w 41 i pół latach 93.50 do 94.20, 4 proc. los w 56 lat 91·00 do 91.70.

Obligi za sztukę: Gal. fund. propinacyjnego 4 prc. 96·20 do 96·90. Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 101·50 do —·—. Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 101·— do 101·70. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4 procentowe po 200 koron 92·00 do 92·70. Pożyczki kraj. z r. 1878 6 proc. —·— do —.—. 4 proc. z 1893 r. 92.— do 92.70, miasta Lwowa 4 proc. po 200 koron 87·30 do 88·—, 4½% po 200 koron 97·— do 97·70.

Monety. Dukat cesarski 11·17 do 11·35. Napoleondor 18·90 do 19·15. Rubel rosyjski papierowy 252·50 do 254.—. 100 marek niemieckich 117·10 do 117·50.

RUCH POCIĄGÓW KOLEJOWYCH
obowiązujący z dniem 1-go maja 1901 roku
(Czas środkowo-europejski).

Do Lwowa z:
(na dworzec główny)

Pociąg posp. przych. o godz.	Pociąg osob. przych. o godz.	
12·15	—	Czerniowiec, Jckan, Jass, (Constancy, Bukaresztu)
2·31	—	Krakowa Orłowa, N. Sącza, Jasła, Chabówki i Zakopanego, Berlina, Wrocławia, Warszawy i Wiednia)
—	3·35	Podwołoczysk, Grzymałowa,
—	6·10	Krakowa (Berlina, Warszawy, Wiednia, Oświęcimia, Rymanowa, Sanoka, Chyrowa)
—	6·20	Czerniowiec, (Ickan, Suczawy, Czortkowa, Kałusza)
—	6·46	Brzuchowic (codziennie od 16 maja do 15 września włącznie)
—	7·45	Janowa
—	8·00	Tarnopola (Brodów)
—	8·10	Ławocznego (Chyrowa, Borysławia, Kałusza i Pesztu)
—	8·15	Sokala i Rawy ruskiej
—	8·50	Krakowa (Zagórza, Łupkowa, Przemyśla, Wiednia, Berlina, Wrocławia, Orłowa od 15/6 do 15/9, Tarnowa, Pesztu)
—	11·45	Rzeszowa (Lubaczowa, Jarosławia, Sambora i Przemyśla)
—	11·55	Stanisławowa (Kerösmező, Potutor, Chodorowa)
—	12·55	Janowa
—	1·10	Skolego, Stryja, Kałusza, Chyrowa (z Ławocznego od 1 czerwca do 15 września)
1·25	—	Krakowa, Wiednia, Wrocławia, Berlina, Tarnowa, Rzeszowa, Rozwadowa, Przeworska, Sanoka, Chabówki i Zakopanego
1·45	—	Czerniowiec, Ickan, Bukaresztu, Galacu, Jass, Husiatyna i Stanisławowa
2·25	—	Podwołoczysk (Kijowa, Odessy), Grzymałowa, Husiatyna, Tarnopola i Brodów
—	3·14	Brzuchowic (od 16 maja do 15 września w niedziele i święta)
—	4·40	Sambora, Borysławia, Drohobycza, Stryja
—	5·35	Podwołoczysk (Kijowa, Odessy, Grzymałowa, Kozowy, Brodów)
—	5·40	Czerniowiec, Itzkan, Stanisławowa
—	5·50	Krakowa, Berlina, Wrocławia, Wiednia, Orłowa, N. Sącza, Tarnowa, Jasła i Rzeszowa
—	6·00	Sokala, Bełzca, Lubaczowa, Rawy ruskiej
—	7·36	Brzuchowic (od 16 maja do 15 września w niedziele i święta)
8·40	—	Krakowa, Wiednia, Berlina, Wrocławia, Tarnowa, Lubaczowa, Sanoka, Przemyśla,
—	8·50	Brzuchowic (od 16 maja do 15 września codziennie
—	9·00	Janowa (od 1 maja do 15 września w niedziele i święta)
—	9·20	Czerniowiec, Ickan, Bukaresztu, Husiatyna, Potutor, Köresmezo
—	9·41	Janowa (codziennie od 1 maja do 31 września)
—	9·50	Krakowa, Wiednia, Berlina, Wrocławia, Warszawy, Tarnowa, Jasła, Przeworska i Rozwadowa
—	10·20	Podwołoczysk, Kijowa, Odessy, Brodów, Kopyczyniec, Zaleszczyk, Skały, Iwania pustego.
—	10·50	Ławocznego, Pesztu, Chyrowa, Kałusza, Borysławia

(na dworzec „Podzamcze")

Pociąg posp.	Pociąg osob.	
—	3·12	Podwołoczysk, Grzymałowa, Tarnopola,
—	7·40	Tarnopola i Brodów
2·20	—	Podwołoczysk, Kijowa, Odessy, Grzymałowa i Brodów
—	5·11	Podwołoczysk, Kijowa, Odessy, Zaleszczyk, Kopyczyniec, Podwysokiego i Brodów
—	10·02	Podwołoczysk, Kijowa, Odessy, Brodów, Kopyczyniec, Zaleszczyk, Skały, Iwania pustego.

Ze Lwowa do:
(z dworca głównego)

Odchodzą posp.	Odchodzą osob.	
12·45	—	Krakowa, Rozwadowa, via Przeworsk, Jasła, Chabówki, Zakopanego, Orłowa, Wiednia, Wrocławia, Berlina.
2·51	—	Ickan, Czerniowiec, Stanisławowa, Bukaresztu, Constancy
—	4·15	Krakowa, Wiednia, Wrocławia, Berlina, Chyrowa, Sambora, Jasła, Stróż, Rozwadowa, via Dębica, Wieliczki.
—	5·45	Brzuchowic (od 16 maja do 15 września codziennie)
—	6·25	Czerniowiec, Podwysokiego, Potutor,
—	6·30	Podwołoczysk, Kijowa, Odessy, Brodów, Kopyczyniec
—	6·35	Ławocznego, Munkacza, Pesztu, Borysławia
8·20	—	Krakowa, Wiednia, Wrocławia, Berlina, Lubaczowa
—	8·40	Krakowa, Bogumina, Warszawy, Chyrowa, Przeworska, Rozwadowa, Stróż, Tarnowa, a od 15 czerwca do 15 września włącznie Sanoka, Rymanowa, Iwonicza i Jasła
—	9·00	Skolego, Chyrowa, Kałusza (do Ławocznego od 1 czerwca do 15 września)
—	9·15	Janowa
—	9·25	Podwołoczysk, Brodów, Grzymałowa, Kozowy
—	10·20	Sokala, Bełzca, Lubaczowa, Rawy ruskiej
—	10·25	Czerniowiec, Stanisławowa, Potutor
—	1·25	Janowa (od 1 maja do 15 września w niedziele i święta)
1·55	—	Podwołoczysk (Kijowa, Odessy, Brodów) Kopyczyniec, Zaleszczyk, Skały, Iwania pustego, Grzymałowa
—	2·15	Brzuchowic (od 16 maja do 15 września w niedziele i święta)
2·40	—	Czerniowiec, Ickan, Stanisławowa, Husiatyna, Kerösmezö
2·55	—	Krakowa, Wiednia, Wrocławia, Berlina,
—	3·05	Stryja, Drohobycza, Borysławia, Sambora i Chyrowa (Skolego tylko od 1 maja do 30 września)
—	3·15	Janowa (codziennie od 1 maja do 15 września)
—	3·26	Brzuchowic (codziennie od 16 maja do 15 września)
—	3·30	Rzeszowa, Chyrowa, Przemyśla, Lubaczowa, Jarosławia
—	6·10	Stanisławowa
—	6·20	Krakowa (Wiednia, Wrocławia, Berlina, Warszawy, Orłowa (od 15 czerwca do 15 września), Chyrowa, Mezö-Laborcza, Pesztu, Oświęcimia.
—	6·30	Janowa (od 1 maja do 15 września w dni powszednie, a od 16 września do 30 kwietnia 1902 codziennie)
—	6·35	Ławocznego, Munkacza, Pesztu, Chyrowa, Kałusza
—	7·10	Tarnopola i Brodów
—	7·25	Sokala i Rawy ruskiej
—	7·52	Brzuchowic (od 16 maja do 15 września w niedziele i święta)
—	9·30	Janowa (od 1 maja do 15 września w niedziele i święta)
—	10·30	Czerniowiec, Itzkan, Jass, Bukaresztu, Czortkowa, Bertometu, Seretu, Brodiny, Suczawy
—	11·00	Krakowa, Wiednia, Warszawy, Wrocławia, Rozwadowa, via Przeworsk, Rzeszowa, Orłowa, Chyrowa, Rymanowa, Iwonicza, Chabówki, Zakopanego i Wieliczki
—	11·10	Podwołoczysk, Brodów, Kopyczyniec, Grzymałowa

(z dworca „Podzamcze")

Odchodzą posp.	Odchodzą osob.	
—	6·48	Podwołoczysk, Brodów, Kijowa, Odessy, Kopyczyniec
—	9·42	Podwołoczysk, Kopyczyniec i Zaleszczyk,
2·08	—	Podwołoczysk, Brodów, Kopyczyniec, Zaleszczyk Skały, Iwania pustego, Grzymałowa, Kijowa i Odessy
—	7·32	Tarnopola i Brodów
—	11·32	Podwołoczysk, Brodów, Kopyczyniec, Zaleszczyk, Podwysokiego i Grzymałowa

Uwaga. Pora nocna jest oznaczoną ramkami. — Czas środkowo-europejski jest późniejszy o 36 minut od czasu lwowskiego. W mieście wydają bilety jazdy: Zwykłe bilety ajencya dzienników J. St. Sokołowskiego w Pasażu Hausmana l. 9 od 7mej rano do 8mej godziny wieczorem, zaś zwykłe i wszelkiego innego rodzaju bilety, taryfy, ilustrowane przewodniki, rozkłady jazdy itp. biuro informacyjne kolei państwowych (ul. Krasickich l. 5, w podwórzu, schody II, drzwi nr. 52) w godzinach urzędowych (8—3, w święta 9—12).

9)

KTO WINIEN?

POWIEŚĆ

A. CARUTHERSA.

Przekład z angielskiego *E. Ż.*

(Ciąg dalszy).

Około trzeciej popołudniu, we czwartek, Leslie wyskoczył z omnibusu w pełnym biegu przy Porte-Maillot, potknął się i stłukł sobie prawą rękę. W pierwszej chwili nie zwrócił na to uwagi, zanim jednak przybył na miejsce, ręka spuchła i ból stał się dotkliwym.

Pani Silverof mieszkała w pałacyku, za wysokim parkanem, w głębi podwórza, pałacyk był jednopiętrowy, zaciszny, okratowana furta była zabita deskami, tak, iż wzrok niedyskretny nie mógł się zagłębiać w to ustronie.

Przezierające przez parkan wierzchołki drzew i zapach aromatyczny dowodziły, że w głębi jest ogród.

Leslie pociągnął za dzwonek, zawieszony przy furcie. W tejże chwili otworzyło się w niej okienko i ukazała się w niem śliczna twarzyczka kobieca. Obejrzawszy nieznajomego od stóp do głowy, z największym spokojem piękna osóbka łamaną francuzczyzną, lecz słodkim głosem spytała go, czego sobie życzy?

Leslie, widząc tylko głowę, sądził, że ma przed sobą służącą i odpowiedział, że pragnie się rozmówić z samą panią.

— Sama pani, to ja — odparła osoba za kratą.

Chetwynd zlekka zdziwiony, odpowiedział, że przybywa w sprawie, omówionej już w liście doktora Kaskawicza. To nazwisko sprawiło taki efekt, jak słowa: „Sezamie, otwórz się“ w opowieści Tysiąca i jednej nocy.

Dama natychmiast zamknęła okienko, a otworzyła furtkę.

P. Chetwynd spodziewał się ujrzeć piękną kobietę, lecz zjawisko, które mu się ukazało, przewyższyło wszelkie oczekiwania. Przy oczach czarnych, aksamitnych odbijały włosy złociste, rysy były jakby wykute z marmuru, płeć delikatna, jak listek róży, postawa wiotka i wyniosła. Piękna osoba wyglądała na lat dwadzieścia najwyżej. Przybrana w lekką tkaninę, miała u boku pęk róż herbacianych.

— Niechże pan wejdzie — rzekła z wdzięcznem skinieniem głowy.

Gdy usłuchał jej wezwania, zamknęła furtę i podała mu drobną rączkę, połyskującą kosztownymi pierścieniami.

— Proszę o list — rzekła.

Sądziła widocznie, że ma list do niej od doktora. Leslie wytłómaczył, że doktor sam do niej pisał, zapowiadając jego przybycie na trzecią, dla porozumienia się w sprawie szkatułki. Młoda kobieta słuchała go ciekawie, lecz z wyrazu jej twarzy było widocznem, że nie wie, o co mu chodzi. Dopiero, usłyszawszy o szkatułce, ożywiła się nagle.

— Tak, tak, szkatułka jest, zapomniałam.

— Czy pani mówi po angielsku? — spytał Leslie.

— Tak, trochę — brzmiała odpowiedź. — Pan Anglik? Proszę do domu, za gorąco... słońce.

Poprowadziła go do pałacyku; szło się żwirowaną aleją dookoła klombu, na którym bił wodotrysk. Na klombie ustawione były krzewy pomarańczowe i oleandry.

Aleja biegła po za domem do ogrodu.

Wchodziło się po kilku schodach na ganek, osłonięty markizą. Wysokie oszalowanie odgradzało z boku ogród od przyległych posesyj, szło ono od parkanu aż do muru w głębi ogrodu, gdzie była furtka, służąca dla ogrodnika, służby i dostawców.

Pani Silverof wprowadziła gościa do sieni z marmurową posadzką, potem weszli do pięknie umeblowanego salonu. Szkatułka wpadła odrazu w oczy panu Chetwynd wśród przeróżnych gracików, stojących na etażerce.

Czarująca gospodyni domu usiadła na niskim fotelu i wskazała swemu gościowi miejsce obok siebie.

— A teraz proszę o list — rzekła znowu po francusku.

— Tam do licha! — pomyślał Leslie — nie może zrozumieć, że ja listu przy sobie nie mam. Jakże jej to wytłómaczyć? Może zna język niemiecki?

Zaczął długie objaśnienie po niemiecku; słuchała go z pięć minut z czarującym uśmiechem.

— Bardzo ładnie — rzekła wreszcie — podobać się to mówienie, ale nic nie rozumieć.

Wymowa Chetwynda była stracona.

— Czemuż Kaskawicz nie uprzedził mnie, że ona nie zna żadnego cywilizowanego języka? Byłbym przyprowadził tłómacza — pomyślał.

Nie znajdując innej rady, wyjął list doktora, pokazał jej adres i wręczył pismo. Obejrzała je starannie, wpadły jej w oko słowa „szkatułka“, jej nazwisko, wreszcie poznała podpis.

— Dobrze! — zawołała, oddając mu list — szkatułka tutaj.

Leslie wskazał oczyma etażerkę.

— A więc pani zechce mi ją odstąpić — zawołał z radością, — uszom swoim nie wierzę.

Pani Silverof odpowiedziała z całą szczerością:

— Szkatułkę można zabrać — kosztuje pięćset franków.

Pan Chetwynd, uradowany, wyliczył banknoty i chciał zabrać swój cenny nabytek.

Pani Silverof dała mu dziennik do zawinięcia szkatułki, a widząc, że mu to przychodzi z trudnością, ofiarowała mu swoje usługi.

Leslie wytłómaczył jej, że ma rękę stłuczoną, wyraziła mu swoje współczucie i nadzieję, że to przejdzie niebawem. Co prawda, trzeba było domyślać się, co chce powiedzieć.

Otrzymawszy paczkę, Chetwynd wstał i pożegnał piękną damę.

— Żegnam panią i dziękuję serdecznie — rzekł z głębokim ukłonem.

— Żegnam pana, szczęśliwego wyzdrowienia — odparła wyciągając do niego rękę.

Leslie podał jej swoją, przyczem doznał silnego bolu.

Pani Silverof odprowadziła go uprzejmie do drzwi sieni.

Odwrócił się raz jeszcze i ujrzał ją we drzwiach. Zachodzące słońce oświetliło jej złote włosy, jasną sukienkę i pęk róż u boku. Wyglądała jak cudny obraz w ramkach.

— To dziwne — myślał Chetwynd, wracając do domu — nie widziałem służących, nie słyszałem szelestu ich kroków. Sama pani otworzyła mi furtkę. A jednak musi chyba trzymać służbę. Ciekaw też jestem, jaki stosunek łączy ponurego doktora z tem świetlanem zjawiskiem?

VII.

Ręką lewą.

Radość rodziny była wielką, gdy Chetwynd powrócił z zawiniątkiem pod pachą, lecz żona przenikliwem okiem miłości dostrzegła odrazu na jego twarzy cierpienie.

— Stłukłem sobie rękę, wysiadając z omnibusu — odparł na jej zaniepokojone pytania.— Pójdę zaraz do doktora. Przynoszę szkatułkę, a to najważniejsza. Dzięki Bogu!

— Czy pani Silverof nie robiła ci trudności?

— Żadnych. Opowiem wam za chwilę; przedewszystkiem jednak trzeba znaleźć bilet, a potem dać rękę do opatrzenia: bardzo mnie boli.

— Mój ty biedaku! — szepnęła kochająca żona.

Nella tymczasem odebrała ojcu szkatułkę i postawiła ją na stole w salonie; odwinęła ją gorączkowo.

— Otwieraj, otwieraj-że prędzej! — wołał ojciec, widząc jej wahanie.

— Boję się — szepnęła — a nuż nie znajdziemy tam biletu?

— Cóż za przypuszczenie! — zgromił ją Chetwynd — nikt go nie wyjął, bo w takim razie zgłoszonoby się po los loteryjny, a dzienniki poranne donoszą, że nikt jeszcze wygranej nie odebrał.

Zachęcona temi słowy, Nella otworzyła szkatułkę kluczykiem, wydobyła z niej wszystkie szufladki, potem odwróciła ją dnem do góry, przycisnęła jedną z czterech nóżek, w tejże chwili odpadła powierzchnia wieka i ukazała się skrytka. Nella drżącemi palcami szukała pożądanego papieru. Z piersi jej wydobył się okrzyk rozpaczy.

Skryta szufladka była pusta.

Leslie przyglądał jej się na wszystkie strony, nie mogąc w straszną rzeczywistość uwierzyć. Wreszcie ręce załamał i jęknął. Kochająca żona opasała go ramieniem, starała się wlać w niego otuchę.

— Moja biedna Lizzie! — szeptał. — Co za cios okropny! To nad moje siły!

Jak dziecię bezradne, złożył głowę na jej ramieniu i płakał gorzko, a łzy dzielnej kobiety spływały jak grad na jego piękną czuprynę.

Reszta dnia zeszła w smutku i przygnębieniu. Lizzie włożyła szkatułkę do szuflady, nie mogła na nią patrzeć.

Chetwynd, otrząsnąwszy się z rozpaczy, udał się do chirurga, kazał sobie rękę opatrzeć, a powróciwszy, położył się do łóżka.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ogłoszenie.

Celem oddania w przedsiębiorstwo robót około zasklepienia Pełtwi w ulicy Pełtewnej, rozpisuje się publiczną rozprawę ofertową na dzień 24 bm., o godzinie 12-tej w południe w m. Urzędzie budowniczym.

Ogólne i szczegółowe warunki, przedmiar robót, tudzież plany są wyłożone tamże do przejrzenia w godzinach urzędowych.

Magistrat król. stoł. miasta Lwowa.

Redaktor odpowiedzialny: **Wacław Masłowski.** Papier z fabryki Czerlańskiej. Z drukarni E. Winiarza.